ISSN 0446-7035

Jednota

MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY

POŚWIĘCONY POLSKIEMU EWANGELICYZMOWI I EKUMENII

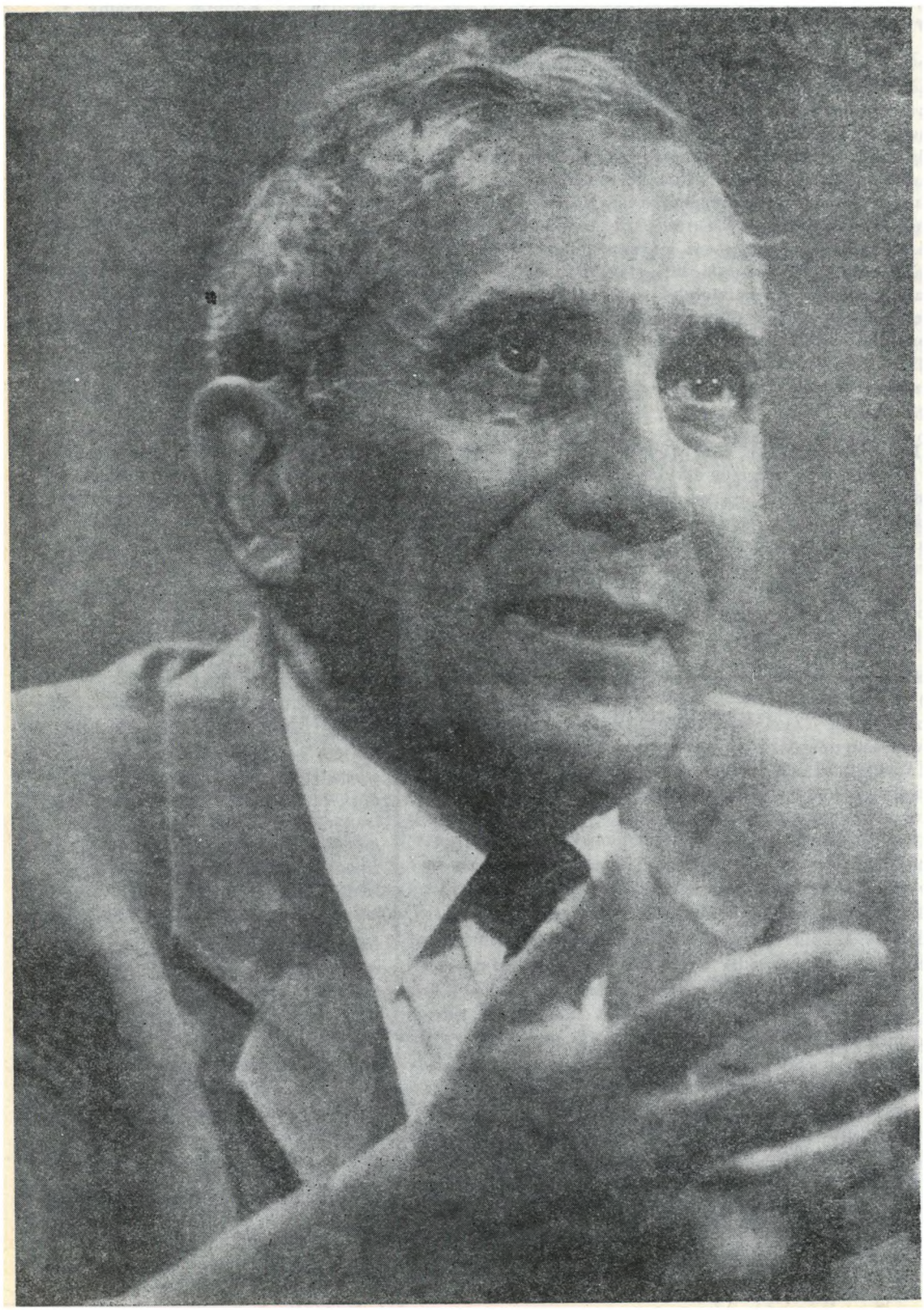

10
84
Rocznik XXVIII (XLIII)

CO WY NA TO?

Bez ograniczeń wieku

Każdy film wyświetlany w kinie opatrzony jest klauzulą: „dozwolony od lat tylu a tylu". Niewielki procent filmów, przeznaczonych dla najmłodszej widowni, takiej klauzuli nie ma. I choć się czasem dyskutuje, czy w każdym wypadku ustalono właściwą granicę wieku, nie podważa się na ogół słuszności samej zasady. Nie znaczy to, oczywiście, że jej wszyscy przestrzegają, ale np. siedmiolatek ma małe szanse obejrzenia w kinie filmu dozwolonego od lat nie tylko 18, ale nawet 15. Jego szanse niepomiernie rosną, gdy taki film wyświetlany jest w telewizji.

Są domy, i nie należą one do rzadkości, w których telewizor włączony jest „na okrągło" i ogląda się program „jak leci", bez wyboru, bez względu na to, co „leci". Wolnym czasem wielu rodzin, rytmem i treścią ich życia domowego rządzi telewizor. Jest ich jedynym pokarmem intelektualnym, jedyną rozrywką, jedynym źródłem wiedzy. Zastąpił im książki, teatry, muzea, spacery, rozmowy. Oglądanie telewizji stało się rodzajem nałogu, który udziela się dzieciom. Od najmłodszych lat przyzwyczajone są do bezustannej obecności obrazu i fonii. Gapiąc się w ekran jedzą, bawią się, zdarza się, że odrabiają lekcje. Na ekranie zawsze coś się rusza, zawsze jest na co popatrzeć, zwłaszcza wtedy, kiedy strzelają, biją się, kiedy się coś pali lub wybucha. Iluż atrakcji dostarczył małoletniej widowni kolorowy, pełen pirotechnicznych efektów słynny film „The day after" o ataku nuklearnym na Stany Zjednoczone! A ilu dostarczają jej sobotnie horrory, wyświetlane w kinie nocnym! Mimo bardzo późnej pory, dzieci je też oglądają. Wystarczy posłuchać, o czym rozmawiają następnego dnia, kiedy się spotykają w Szkole Niedzielnej.

To nie wina dzieci. I nie wina telewizji, choć wiele jej można zarzucić. Winni są rodzice. Telewizor włączony non stop stał się dla nich normalnym elementem życia domowego. Nie myślą o tym, że to, co dociera do ich oczu i uszu, dociera także do ich dzieci. Jeśli już w ogóle interweniują, to na ogół tylko wtedy, kiedy na ekranie pojawiają się sceny erotyczne. Na resztę wyrażają milczącą zgodę. Przywykli do biernego odbioru programu, bo przecież nie sposób świadomie w nim uczestniczyć przez ileś godzin dziennie, przepuszczają bezmyślnie przez swój mózg słowa i obrazy i bezmyślnie tolerują przy tym obecność dziecka.

Taki system oglądania telewizji jest szkodliwy dla dzieci (dla dorosłych też, ale to inna sprawa) co najmniej z trzech powodów. Po pierwsze — nikogo chyba nie trzeba przekonywać o tym, że dzieci nie powinny oglądać programów, do których po prostu nie dorosły, których nie rozumieją bądź rozumieją je opacznie. Wykształca się w nich wskutek tego fałszywy obraz rzeczywistości, fałszywy system wartościowania i reagowania, mogą wystąpić zaburzenia w sferze emocjonalnej itd. Po drugie — oglądanie programu telewizyjnego „jak leci" prowadzi do umysłowego lenistwa. Ogląda się w telewizji wszystko po kolei, co płynie z magicznej skrzynki (bo swoją magię to ona ma), a w tym czasie mózg pracuje na jałowym biegu. Do tej jałowości się przywyka i potem już się nie chce czytać, chodzić do teatru, myśleć, nawet rozmawiać. (Zanika przecież sztuka prowadzenia normalnej konwersacji, w wielu domach wymienia się tylko konieczne informacje). Wszystko dostaje się gotowe, podane na miejscu, bez żadnego zachodu, jak śniadanie do łóżka. I tak od wieku nawet przedszkolnengo. Po trzecie wreszcie — wielogodzinne siedzenie przed telewizorem nie jest zdrowe również dla ciała — dla wzroku, dla układu kostnego, dla całego dziecięcego organizmu.

Zastanówmy się nad tym, nim włączymy telewizor. Nie róbmy tego odruchowo. Niech i on trochę odpoczywa. Może znajdziemy wtedy czas na rozmowę z dzieckiem, na zabawę z nim, na przeczytanie mu książki. „Wszystko dobre, ale w miarę" — mówi przysłowie, a przysłowia są podobno mądrością narodów.

CO W NUMERZE?

Myślą przewodnią **kazania** ks. Bogdana Trandy, zamieszczonego na s. 3, jest wezwanie proroka Jeremiasza: **Poprawcie swoje drogi i czyny.** Po kazaniu następuje **Modlitwa spowiednia** (s. 4).

Na s. 5 drukujemy sprawozdanie z **Obrad Komitetu Naczelnego SRK** w Genewie pióra Karola Karskiego, który uczestniczył w nich jako sprawozdawca. Komitet Naczelny zatwierdził na stanowsko sekretarza generalnego ŚRK ks. **Emilio Enrique Castro,** teologa metodystycznego z Urugwaju, którego sylwetkę przedstawiamy na s. 9.

Wychowujmy inaczej to tytuł artykułu Marka Mlickiego (s. 7), który polecamy rodzicom. Do nich też przede wszystkim adresowany jest nasz redakcyjny felieton **Bez ograniczeń wieku** w rubryce **Co Wy na to?** (s. 2).

W rubryce **Zapiski znad Betezdy** Adam Paszkowski pisze tym razem o barierach, jakie dzielą ludzi i jakie ludzie sami między sobą budują; tytuł felietonu **Mury** (s. 11).

Na s. 12 Marek Ruszczyc w artykule **Tajny dyktator** prezentuje sylwetkę Romualda Traugutta, dyktatora powstania styczniowego w jego schyłkowej fazie, który zginął na Cytadeli 120 lat temu.

Witold Bender z okazji swej wizyty w parafii ewangelicko-reformowanej we Frankfurcie n. Menem przypomina związki Jana Łaskiego z tym miastem w artykule **Po śladach Jana Łaskiego** (s. 15).

Szalom to tytuł nowego cyklu, nawiązującego w swej treści i formie do „Dawidowych korzeni" publikowanych w latach 1982 i 1983. W numerze drukujemy pierwszą część rozmowy s. Kingi Strzeleckiej z Pierre Lenhardtem, zatytułowanej **Antysemityzm chrześcijański?** (s. 17).

Po za tym nasze stałe rubryki: **Wśród książek** (s. 19), **Listy** (s. 20), **Przegląd ekumeniczny** (s. 21) i **Z prasy** (s. 23).

NASZA OKŁADKA

Ks. Emilio Enrique Castro, nowy sekretarz generalny ŚRK (patrz s. 9).

KS. BOGDAN TRANDA

Poprawcie swoje drogi i czyny

Tak mówi Pan Zastępów, Bóg Izraela: poprawcie swoje drogi i czyny, a sprawię, że mieszkać będziecie na tym miejscu...

Jer. 7:3—11

Czterysta lat temu, 22 sierpnia umarł Jan Kochanowski, największy poeta polskiego Odrodzenia, którego twórczość do dzisiaj zachowała swoje wartości i jest nam szczególnie bliska. Kochanowski wytrzymał próbę czasu nie tylko dlatego, że był wielkim artystą i prawdziwym władcą słowa poetyckiego, ale i dlatego, że jak mało kto kieruje on nasze myśli ku Bogu. Właśnie dzisiaj śpiewaliśmy dwie pieśni: Psalm 8 w jego układzie i przepiękny hymn na cześć Boga „Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary" — jego autorstwa. W poezji Kochanowskiego znać głębokie piętno wiary biblijnej. Znał on Pismo święte, i to niewątpliwie dzięki ruchowi religijnego odrodzenia, jakim była w XVI wieku Reformacja. Musiał dogłębnie poznać prawdy Boże, skoro z jego twórczości przebija taka siła wiary i taka głębia poznania Bożej woli. Kiedy wczytujemy się w teksty religijne, które zostawił w swej spuściźnie, wyraźnie widzimy, jak mocno związał się z przekazem biblijnym. To on pozostawił w spadku po sobie genialny „Psałterz Dawidów", którym do dzisiaj możemy się posługiwać i nie tylko podziwiać w nim talent poety, ale także za jego pomocą przybliżać się ku Bogu. Jan Kochanowski zdawał sobie sprawę, jak ważne znaczenie ma Pismo święte dla rozwoju człowieka, dla pogłębienia jego wiary, dla właściwego ustawienia jego życia. Biblia jest bowiem Księgą ksiąg. Za jej pośrednictwem Bóg przemawia do nas, napomina nas, ostrzega, roztacza przed nami nadzieję, pociesza. Biblia nie da się oderwać od naszego codziennego życia. Czytając teksty biblijne wgłębiamy się w te prawdy, które Bóg pragnie nam przekazać, żebyśmy nimi żyli i by pomogły nam one reformować nasze życie, poprawiać codzienne postępowanie i nasze wzajemne stosunki.

Nasz kraj od przeszło tysiąca lat jest chrześcijański. Czy to znaczy, że istotnie jesteśmy do głębi serca przeniknięci treścią Ewangelii? Czy to znaczy, że we wszystkich sprawach codziennego życia kierujemy się wolą Boga? Mamy właśnie przed sobą tekst bardzo stary, z księgi proroka Jeremiasza. Czytamy słowa, z którymi prorok na polecenie Boże zwraca się do swego narodu. Kazał mu Bóg stanąć w bramach świątyni Pana i wzywać naród do słuchania poselstwa od Niego. Tak mówi Pan Zastępów, Bóg Izraela: „Poprawcie swoje drogi i czyny, a sprawię, że mieszkać będziecie na tym miejscu". Poprawcie swoje postępowanie, zmieńcie sposób myślenia, aby wasze mieszkanie na ziemi obiecanej było pomyślne.

Sądzę, że wezwanie to w równym stopniu odnosi się do nas, do naszego kraju, do naszego narodu. O wiele bardziej niż poprawy ekonomicznej potrzeba nam poprawy duchowej, głębokiej reformy wewnętrznej, moralnej. Doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, co dzieje się wśród ludzi, jak bardzo dusze zostały zdeprawowane przez różne okoliczności. Nie tylko przez dość odległe już czasy ostatniej wojny, ale przez codzienne praktyki życia, przez stosunki, jakie panują między ludźmi, kiedy to własność przestała być czymś nietykalnym, praca przestała wpływać na sposób myślenia człowieka, przestała być świętością, hołdem składanym Bogu, kiedy życie samo straciło swą cenę, prawda i sprawiedliwość zostały wypaczone i kiedy nikt nie chce być „frajerem", gotowym dla prawdy ponosić ofiary. Wszystkie te sprawy znamy z osobistych, nie najlepszych doświadczeń, nie trzeba więc nawet ich przypominać. Coraz częściej stykamy się z alkoholizmem, który coraz bardziej się szerzy i toczy żywe ciało narodu, z narkomanią i lekomanią, które coraz głębiej zapuszczają swoje korzenie i wyjaławiają dusze młodych ludzi.

Wezwanie proroka: „poprawcie swoje drogi i czyny" jest jak najbardziej w naszych warunkach i stosunkach aktualne. To wezwanie jest związane z obietnicą: „sprawię, że mieszkać będziecie na tym miejscu, mieszkać w pokoju, w ziemi, którą dałem waszym ojcom od wieków na wieki" (w. 7). Bóg nie rzuca słów na wiatr. Przemawiając do nas dzisiaj słowami swojego proroka to właśnie ma na myśli, co słyszymy — pomyślne życie na ziemi ojców jest ściśle związane z naszym postępowaniem i uzależnione od tego, czy słuchamy poselstwa, jakie Bóg do nas kieruje. Nie wystarczy pobożność, pobożne słowa i gesty, nie wystarczą święta i uroczystości, nie wystarczy wznoszenie pomników, nie wystarczy wołać: Panie, Panie! „Nie polegajcie na słowach zwodniczych, gdy mówią — świątynia Pańska, świątynia Pańska, świątynia Pańska to jest" Nie wystarczy, jeśli się zwodzi ludzi próżną, demonstracyjną pobożnością, kiedy się uważa, że obecność świętych przybytków, obecność świętych znaków miałaby chronić człowieka, naród, kraj przed nieszczęściem.

Nie zawsze nieszczęście musi przychodzić z zewnątrz. Najgroźniejsze bowiem jest to, co zagraża nam od wewnątrz, od duszy, od serca. Od duszy wypaczonej, od serca zepsutego, od duszy pozbawionej właściwego drogowskazu, jakim jest Ewangelia, która rozpoczyna się od Jezusowego wezwania: „opamiętajcie się i wierzcie Ewangelii". Opamiętać się, to znaczy właśnie poprawić swoje drogi i czyny. Jeśli szczerze poprawicie swoje drogi i czyny, jeżeli uczciwie stosować będziecie prawo między ludźmi, jeżeli obcego przybysza, sieroty i wdowy nie będziecie uciskać i krwi niewinnej przelewać na tym miejscu ani też chodzić za cudzymi bogami na własną zgubę, wtedy „sprawię, że będziecie mieszkać na tym miejscu, w ziemi, którą dałem waszym ojcom od wieków na wieki".

Wiara jest bardzo ważna w życiu człowieka, ale taka wiara, która nie polega tylko na dewocji, na czczym wzywaniu imienia Bożego, na czczych obrzędach, lecz na szczerym przejęciu się tym, co mówi do nas Bóg. Oto drugi z wielkich proroków biblijnych, Izajasz, tak woła: „Co mi po mnóstwie waszych krwawych ofiar — mówi Pan. Jestem syty całopaleń baranów i tłuszczu karmnych cieląt, a krwi byków, jagniąt i kozłów nie pragnę... Któż tego żądał od was, abyście wydeptywali moje dziedzińce? Nie składajcie już ofiary daremnej... Waszych nowiów i świąt nienawidzi moja dusza... Gdy wyciągacie swoje ręce, zakrywam oczy przed wami, choćbyście pomnożyli wasze modlitwy, nie wysłucham was... Obmyjcie się, oczyście się, usuńcie złe uczynki sprzed moich oczu, przestańcie źle czynić" (Iz. 1:11—16).

Oto jest program prorocki, program również dla nas. Nie da się tych wypowiedzi sprowadzić do czysto historycznych okoliczności, w których

Modlitwa spowiednia

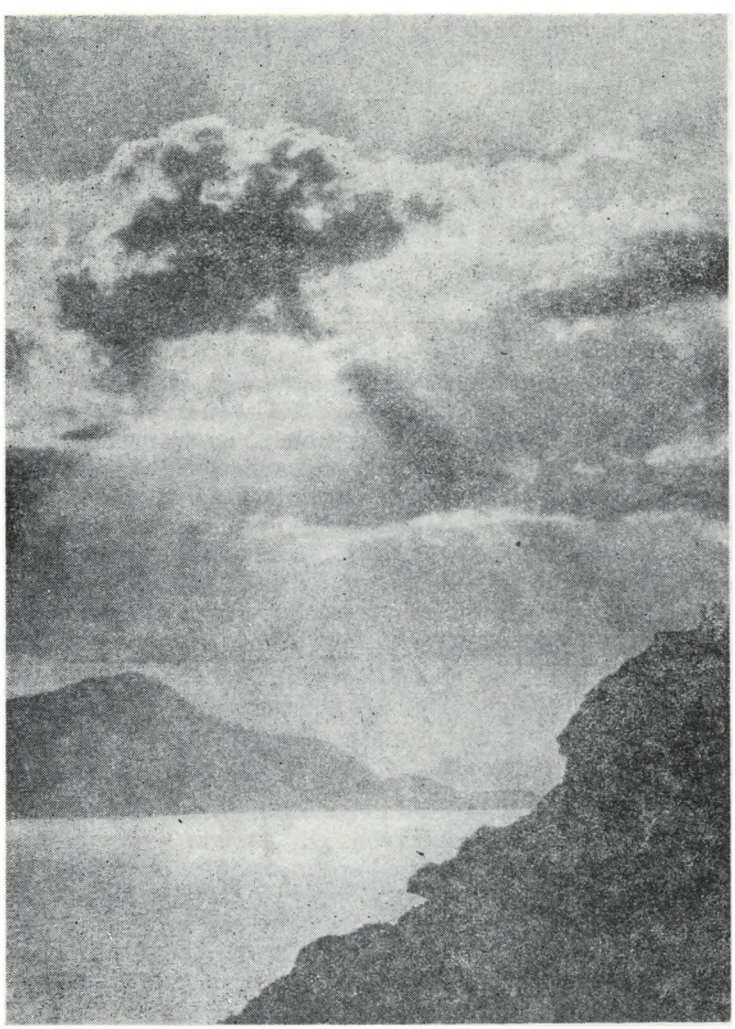

Ty, Ojcze, mówisz do nas przez ludzi,
których posłałeś jako proroków,
aby głosili nam Twe wieczyste Słowo
i wzywali do nawrócenia się całym sercem
do Ciebie.

Z żalem wyznaję grzechy popełnione
myślą, słowem, czynem, zaniedbaniem;
szczerze pragnąc poprawy życia,
spowiadam się z moich słabości
przed Tobą.

Zmiłuj się nade mną, okaż swą łaskę,
zgładź moje występki, okaż swą litość,
obmyj mnie do czysta z moich win
i uwolnij od skazy grzechu,
o Boże.

Ty nie żądasz ode mnie żadnych ofiar,
nie przyjmiesz próżnej, demonstracyjnej
pobożności, słów i gestów na pokaz;
jedyne, czym nie wzgardzisz, to serce
skruszone.

Bez Twojej, Ojcze, pomocy nie potrafię
dźwignąć się do nowego, lepszego życia
ani zmienić swego postępowania,
ani naprawić krzywdy wyrządzonej
bliźniemu.

Boże wszechmocny, wesprzyj mnie,
zmień warunki mej egzystencji,
stwórz we mnie serce czyste,
aby moje czyny mogły zaświadczyć
o wierze.

przemawiał prorok Izajasz. Są to słowa wieczyste, słowa, które wprawdzie mówią o konkretnych warunkach i okolicznościach, z jakimi miał do czynienia Izajasz, ale których treść i poselstwo są skierowane do wszystkich i wszędzie. Również do nas, tutaj, w Polsce. Nie czcza dewocja, nie demonstracyjna pobożność na doraźny użytek, ale korne, szczere przyznanie się do stanu, w jakim się człowiek znajduje, odwrócenie się od dotychczasowego życia, żeby rozpocząć życie nowe, zgodne z Bożym prawem, z wezwaniami, jakie On do nas kieruje — na tym polega prawdziwa, biblijna pobożność. Szukanie zaś dróg, sposobów naprawy życia, szukanie sposobów, jakimi możemy odmienić warunki naszej egzystencji, polega na dowiadywaniu się od Boga samego, czego On od nas oczekuje. A to znajdujemy nie gdzie indziej, jak w tej właśnie Księdze ksiąg.

Codzienna nasza modlitwa, stałe studiowanie Słowa Bożego, niech nas wprowadza na drogę nawrócenia, opamiętania się. Niech Bóg wszechmocny wspiera nas, kieruje nami i niech On sam wskazuje sposoby, za pomocą których osiągniemy cel, który On przed nami stawia. Pismo święte Starego Testamentu jest źródłem, które nieustannie bije świeżymi myślami, nieustannie odnawia nasze umysły i serca i prowadzi nas w przyszłość, naznaczoną nie pustymi słowami, nie czczą pobożnością, ale przestrzeganiem Bożego prawa. Albowiem według Bożego objawienia to jest właśnie droga jedyna, która prowadzi do pokoju, wolności, sprawiedliwości. Amen.

Kazanie wygłoszone 26 sierpnia 1984 podczas nabożeństwa w kościele ewangelicko-reformowanym w Warszawie.

KAROL KARSKI

Obrady Komitetu Naczelnego ŚRK

Po raz drugi przypadł mi w udziale przywilej uczestniczenia w obradach Komitetu Naczelnego Światowej Rady Kościołów, które odbywały się w Genewie w dniach 9—18 lipca. Pierwszy raz przysłuchiwałem się obradom tego najwyższego między zgromadzeniami ogólnymi gremium Rady dziesięć lat temu. Wielokrotnie wracałem teraz myślami do tamtego czasu. Dziesięć lat to niemało w życiu i działalności Światowej Rady Kościołów, która istnieje dopiero 36 lat. W 1974 r. obrady toczyły się w Berlinie Zachodnim, inny był ich przebieg, inna atmosfera, inne też były uchwały.

W porównaniu z 1974 r. zmienił się na korzyść skład strukturalny członków Komitetu Naczelnego, w którym zasiada dzisiaj więcej ludzi świeckich, kobiet i młodzieży, natomiast zdecydowanie mniej jest hierarchów różnego szczebla i ludzi w zaawansowanym wieku.

Posiedzenie przed 10 laty było ostatnim posiedzeniem przed Zgromadzeniem Ogólnym; członkowie Komitetu Naczelnego byli dobrze zorientowani w problemach, z którymi musiała się uporać Światowa Rada i jej Kościoły członkowskie, co znajdowało odbicie w ożywionych, momentami namiętnych dyskusjach. Członkowie Komitetu Naczelnego byli mało podatni na próby manipulacji ze strony Genewskiego Biura. Pod tym względem tegoroczne obrady wypadły gorzej. Było to pierwsze posiedzenie robocze nowego Komitetu Naczelnego, wybranego przed rokiem, podczas VI Zgromadzenia Ogólnego w Vancouver. 80% członków tego gremium to ludzie całkiem nowi, dla wielu z nich udział w ubiegłorocznym Zgromadzeniu Ogólnym był pierwszym bezpośrednim zetknięciem się z pracą Światowej Rady Kościołów. Fakt ten znajdował odbicie w dyskusjach i głosowaniach. Dyskusje były dosyć niemrawe, uczestniczyło w nich niewiele, stale tych samych, osób. Głosowanie nad poszczególnymi uchwałami przebiegało z reguły gładko, na ogół przyjmowano je jednomyślnie.

Dziesięć lat temu w Berlinie Zachodnim dostrzegalne były pierwsze oznaki kryzysu w stosunkach między Światową Radą Kościołów a Kościołem Rzymskokatolickim. Przemijał wówczas właśnie okres wielkiej euforii z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy spodziewano się, że przystąpienie Kościoła Rzymskokatolickiego do ŚRK jest sprawą najbliższej przyszłości. Poza tym środowiska ekumeniczne były pod wrażeniem opublikowanego przez watykańską Kongregację Doktryny Wiary dokumentu „Mysterium ecclesiae", który stwierdził m.in., że jeden niepodzielny Kościół chrześcijański jest identyczny z Kościołem Rzymskokatolickim i dlatego tylko ten Kościół posiada całą, przez Boga objawioną prawdę i dysponuje wszystkimi środkami, jakie Bóg przeznaczył dla zbawienia ludzi. Niezadowolenie ŚRK z powodu wydania tego dokumentu było duże. Nie zaważyło to jednak na współpracy między Watykanem i Genewą, która było kontynuowana przede wszystkim w ramach Wspólnej Grupy Roboczej. Czas sprawił, że wyzbyto się pewnych, żywionych przedtem iluzji. Tegoroczne obrady Komitetu Naczelnego rozpoczynały się niemal

dokładnie w cztery tygodnie po wizycie papieża Jana Pawła II w siedzibie ŚRK w Genewie. Przewodniczący Komitetu Naczelnego, ks. Heinz Joachim Held, stwierdził w swoim sprawozdaniu, że przeprowadzone przy tej okazji rozmowy „potwierdziły wolę i konieczność dalszej współpracy między obu partnerami, zwłaszcza w ramach Wspólnej Grupy Roboczej". W sprawozdaniu sekretarza generalnego dr. Filipa Pottera znalazły się następujące słowa na ten temat: „Wizyta papieża Jana Pawła II była widzialnym wyrazem wzrostu wzajemnego zaufania. Ukazała naszą rzeczywistą, mimo że jeszcze niedoskonałą, wspólnotę w Ciele Chrystusa. We wspólnej deklaracji, przyjętej na zakończenie wizyty, zobowiązaliśmy się podjąć inicjatywy, które przez wspólną refleksję, wspólne świadectwo i wspólne akcje umożliwią nam przeżywanie jedności w Chrystusie, Głowie Kościoła". Komitet Naczelny zaaprobował tekst wspólnej deklaracji.

Przed dziesięciu laty wielkie namiętności w Kościołach członkowskich, a także w łonie samego Komitetu Naczelnego, wywoływało zaangażowanie polityczno-społeczne Światowej Rady Kościołów, a zwłaszcza uchwalony przez nią w 1969 r. 5-letni Program Zwalczania Rasizmu. W ramach tego programu utworzono specjalny fundusz, z którego wsparto finansowo wiele ruchów wyzwoleńczych i organizacji walczących z przejawami rasizmu. Podczas obrad w Berlinie Zachodnim z dużym napięciem oczekiwano decyzji Komitetu Naczelnego w sprawie przedłużenia tego programu. Został on wówczas przedłużony mimo sprzeciwu wpływowych członków Komitetu Naczelnego (jednym z nich był Richard von Weizsacker, obecny prezydent RFN) i niektórych Kościołów członkowskich (pewna ich liczba wycofała lub zawiesiła swoje członkostwo w ŚRK). Od tamtej pory Program Zwalczania Rasizmu stał się integralną częścią składową działalności ŚRK. Przeznaczenie w bieżącym roku 2 milionów dolarów na walkę z rasizmem członkowie obecnego Komitetu Naczelnego przyjęli bez większej dyskusji do aprobującej wiadomości. Dr Filip Potter nazwał ten program podczas konferencji prasowej symbolem nadziei. „Miliony ludzi — mówił — którzy nigdy nie pojawiają się w telewizji, nie dochodzą do głosu w radiu i nie piszą artykułów do gazet, dowiadują się w ten sposób, że jeszcze gdzieś na świecie istnieje grupa ludzi, która zna i poważnie traktuje ich troski i potrzeby".

Dziesięć lat temu członkowie Komitetu Naczelnego byli pod silnym wrażeniem specjalnych orędzi prawosławnych patriarchów Konstantynopola i Moskwy, w których krytykowali oni Radę za to, że zbyt wielką wagę przywiązuje do problematyki społeczno-politycznej, czyli do spraw tego świata. Nie wnikając w to, na ile ówczesna krytyka była słuszna, stwierdzić trzeba, że ujawniła ona, iż Kościoły prawosławne nie zadomowiły się jeszcze na dobre w społeczności Kościołów zrzeszonych w ŚRK. Wydaje się, że pod tym względem sytuacja zmieniła się jednak na korzyść. Znacznie wzrosła liczba prawosławnych w różnych gremiach ŚRK, w Komitecie Naczelnym stanowią oni obecnie najsilniejszą grupę wyznaniową (ogółem 32 osoby, każdy Kościół autokefaliczny jest od Zgromadzenia w Vancouver reprezentowany przynajmniej przez jednego przedstawiciela), ich siła oddziaływania jest dzisiaj większa niż kiedykolwiek przedtem.

I wreszcie, dziesięć lat temu zaczęły się ujawniać pierwsze oznaki kryzysu finansowego, który w późniejszym okresie doprowadził nawet do rozmyślań nad przeniesieniem siedziby Światowej Rady Kościołów z „drogiej" Szwajcarii do innego, „tańszego" kraju. Kryzys ten Rada ma już za sobą, podczas tegorocznych obrad podjęto nawet uchwałę w sprawie rozbudowy Centrum Ekumenicznego w Genewie. Nie oznacza to jednak, że sytuacja finansowa Rady jest zadowalająca. Największą troską jest to, że 97% budżetu, który w bieżącym roku wynosi 35 milionów franków szwajcarskich, pokrywają Kościoły z 10 krajów zachodnich. Jedna trzecia Kościołów członkowskich nie wnosi żadnego wkładu finansowego do budżetu Rady. Kościoły w krajach socjalistycznych nie mogą partycypować w budżecie Rady z powodu niewymienialności waluty i przepisów dewizowych. Swój wkład finansowy wnoszą one często pośrednio, zapraszając do swego kraju różne gremia ŚRK i pokrywając związane z tym koszty. Np. koszty posiedzenia Komitetu Naczelnego w Dreźnie w 1981 r. pokryły Kościoły ewangelickie w NRD. Zgodnie z uchwałą Komitetu Naczelnego, w najbliższych latach odbędą się pod patronatem Światowej Rady Kościołów trzy konferencje światowe. W 1988 lub 1989 r. ma być zwołana V Światowa Konferencja do Spraw Wiary i Ustroju Kościoła, która podsumuje przebieg procesu recepcji dokumentu konwergencji w sprawie Chrztu, Eucharystii i Urzędu duchownego, uchwalonego w Limie (Peru) w styczniu 1982 r. Komisja „Wiara i Ustrój" przedstawi konferencji światowej jeszcze dwa inne dokumenty-studia: „Wspólne wyrażanie wiary apostolskiej w dzisiejszych czasach" oraz „Jedność Kościoła i odnowa wspólnoty ludzkiej". Komisja do Spraw Misji Światowej i Ewangelizacji zamierza zwołać kolejną Światową Konferencję Misyjną w 1987 lub 1988 r. W okresie poprzedzającym to wydarzenie Komisja zajmie się następującymi tematami: Ewangelia a kultura, Dobra Nowina dla biednych, opór jako forma świadectwa chrześcijańskiego, wspólne świadectwo chrześcijan różnych tradycji i różnego pochodzenia kulturowego. Natomiast przygotowaniem konferencji światowej w 1989 r., poświęconej sprawiedliwości, pokojowi i integralności stworzenia, zajmie się Grupa Robocza do Spraw Kościoła i Społeczeństwa. Poczynając od 1985 r. organizowane będą, wspólnie z krajowymi radami ekumenicznymi, spotkania regionalne służące przygotowaniu tej konferencji.

Wkrótce po VI Zgromadzeniu Ogólnym w Vancouver sekretarz generalny ks. dr Filip Potter doszedł do wniosku, że nowy okres pracy w Radzie powinien odbywać się pod nowym kierownictwem. Oświadczył, że urząd swój pragnie złożyć już z końcem 1984 r., a nie — jak było przewidziane — w 1985 r. Komitet Naczelny

stanął więc wobec zadania wybrania nowego człowieka na to kluczowe stanowisko nie tylko w Światowej Radzie Kościołów, lecz i w ruchu ekumenicznym w ogóle. Specjalny Komitet Nominacyjny, powołany kilka miesięcy temu, przedstawił na obecnym posiedzeniu Komitetu Naczelnego rezultaty swoich sondaży. Spośród kilku rozpatrywanych kandydatów najszersze poparcie uzyskał teolog metodystyczny z Urugwaju, 57-letni ks. Emilio Enrique Castro. W 1973 r. objął on po ks. Filipie Potterze, który został wówczas sekretarzem generalnym, stanowisko dyrektora Komisji do Spraw Misji Światowej i Ewangelizacji. Obecnie Emilio Castro będze następcą Pottera na stanowisku sekretarza generalnego. Obu teologów łączą jeszcze dwie inne sprawy: ta sama przynależność konfesyjna i pochodzenie z tego samego regionu świata. Wygląda na to, że Emilio Catro będzie wiernym kontynuatorem linii programowej wytyczonej przez jego wybitnego pod wieloma względami poprzednika.

Dzięki przyjęciu dwóch kolejnych Kościołów (Jednota Braterska w Nikaragui i Zjednoczony Kościół Prezbiteriański w Brazylii) do ŚRK liczba zrzeszonych w niej Kościołów wzrosła do 303. Ponadto status rady stowarzyszonej przyznano Radzie Zjednoczonych Kościołów w Sudanie.

Z Polski w obradach uczestniczyli: bp Jeremiasz z Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego jako członek Komitetu Naczelnego i ks. Zdzisław Pawlik jako doradca z ramienia Polskiej Rady Ekumenicznej. Piszący te słowa miał akredytację dziennikarską.

MAREK MLICKI

Wychowujmy inaczej

Lektura dla rodziców

Każdy, kto wychowuje dziecko, powinien zadać sobie dwa pytania. Pierwsze: kim moje dziecko ma być? Jest to pytanie o cel wychowania. Drugie: jakimi metodami będę je wychowywał? Odpowiedź na pytanie pierwsze determinuje w znacznej mierze odpowiedź na drugie, środki powinny być bowiem dostosowane do celów. W tym opracowaniu chcę powiedzieć kilka słów na temat obydwu zagadnień, ściślej zaś na temat jednego z ich aspektów.

W tych wszystkich przypadkach, gdy rodzice stawiają sobie pewien dalekosiężny cel wychowania — jakiś model lub wzór osobowy — w określaniu tego celu biorą udział wartości. Są to te wartości, które rodzice uznają za najcenniejsze. Zauważmy, iż w rozmowach o wychowaniu rodzice często używają takich określeń, jak: „chcę, aby wyrósł na dzielnego człowieka", „żeby mu było dobrze w życiu" (częściej: „lepiej niż mnie"), „najważniejsze, żeby zawsze był szczęśliwy" lub „niech umie sobie w życiu radzić". Nierzadko, co zresztą miewa fatalne skutki, rodzice za wszelką cenę pragną dać dzieciom to, czego sami nie osiągnęli pomimo starań, bądź chcą je uchronić przed złymi — w ich pojęciu — doświadczeniami, jakie ich samych spotkały.

Sądzę, iż w określaniu celu wychowania swoich dzieci chrześcijanie — a dokładniej: ci chrześcijanie, którzy mają głęboką wiarę — znajdują się w znacznie lepszej sytuacji niż ludzie niewierzący. Ci ostatni bowiem muszą wybierać spośród wielu konkurencyjnych wartości, nie mając w tym wyborze żadnych innych wskazówek prócz własnych doświadczeń i przeżyć. Te zaś, choć niewątpliwie cenne, nie zawsze wystarczają. Nie można bowiem bez odwołania się do wiary dać umotywowanej odpowiedzi na takie choćby proste pytanie: czy lepiej jest być uczciwym, czy nieuczciwym? Jak to wielu badaczy moralności podkreślało, każde uzasadnienie norm i wartości moralnych musi w końcu odwołać się do twierdzeń, które są przedmiotem wiary i nie podlegają dowodzeniu.

Chrześcijanie swój cel wychowania mogą określić krótko i jasno: Jezus. Oczywiście, imię Jezus jest symbolem, pod którym kryje się wiele wartości dających w sumie Syna Człowieczego. Trudno jest przełożyć to, co w Nowym Testamencie czytamy o Jezusie, na współczesny język, jeszcze zaś trudniej zastosować to w złożonej rzeczywistości świata dzisiejszego. Wpojenie dziecku prawd ewangelicznych jest procesem o wysokim stopniu komplikacji, mamy bowiem do czynienia z „materiałem", którego reakcje trudno jest dokładnie przewidzieć. Tym niemniej ludzie wierzący mają w Jezusie pewny i niewzruszony wzór — wzór zarówno dla siebie, jak i dla dzieci, które wychowują.

W znacznie gorszej sytuacji znajdują się chrześcijanie, gdy przychodzi do praktycznej reali-

zacji wzoru wychowania. Dlaczego? „Nie są ze świata, jak i Ja nie jestem ze świata" — powiedział Chrystus o swoich wyznawcach (Jn 17:16); oraz: „... że nie ze świata jesteście, ale Ja was wybrałem ze świata, dlatego was świat nienawidzi" (Jn 15:19). A więc, kto dąży do ideału chrześcijańskich wartości, kto jest „wybrany ze świata", ten naraża się na negatywne reakcje otoczenia. Świadom tego był Chrystus, gdy zpowiadał prześladowania, świadomi tego byli również apostołowie ostrzegając zbory o nadchodzących uciskach.

W dzisiejszych czasach reakcja otoczenia niekoniecznie polega na dosłownym prześladowaniu wyznawców Chrystusa, choć i to ma miejsce na świecie. Znacznie powszechniejszą reakcją jest wrogość spowodowana prostym faktem, iż chrześcijanie są i n n i. Nawet gdyby od chrześcijaństwa „odjąć" całą teologię i pozostawić tylko wartości moralne, to i tak jego „inność" będzie wystarczająco wyraźna. A „inny" oznacza przeważnie „obcy", „obcy" zaś to „wróg". Przeto decydując się na wychowywanie dziecka dla Chrystusa decydujemy się zarazem, iż będzie ono inne od pozostałych dzieci z wszystkimi tego faktu przykrymi konsekwencjami.

„Inność" ma wszakże jeszcze drugi aspekt, o którym chcę szerzej napisać. Aspekt ten szczególnie silnie przejawia się we współczesnym świecie, w którym dominującą rolę odgrywają wartości materialne. Innymi słowy: podstawową wyższą potrzebą, jaką ten świat zarazem wzmacnia i zaspokaja, jest p o t r z e b a p o s i a d a n i a. Przedmioty materialne i pieniądze, za które przedmioty te można nabywać, są dla wielu ludzi wartością najwyższą, w imię której każdy czyn jest usprawiedliwiony. Więzi międzyludzkie ograniczają się do wymiany dóbr materialnych. Nasila się walka o dostęp do — ograniczonych przecież — dóbr, a jej skutki mogą być w przyszłości tragiczne.

Aby wyjaśnić tę ekspansję posiadania, trzeba odwołać się do psychologii. Celowe wydaje się przyjęciu modelu psychiki człowieka*, w którym osobowość składa się jak gdyby z dwóch wartw. Pierwsza z nich — to s f e r a e k s p a n s j i z e w n ę t r z n e j, z którą związane są potrzeby nieelementarne, jak potrzeba posiadania, władzy i prestiżu. Druga — to s f e r a r o z w o j u w e w n ę t r z n e g o, w której rodzą się zachowania altruistyczne i takie uczucia, jak miłość, przyjaźń, sympatia czy szacunek. Każda z warstw dąży do kierowania całością zachowań człowieka, przy czym niejako uprzywilejowana jest warstwa ekspansji zewnętrznej. Ona bowiem związana jest z przeżyciem w walce o byt. Rozwój umysłu człowieka spowodował, że ekspansja ta została znakomicie rozszerzona i zarazem przeniesiona na bardziej abstrakcyjny poziom. Umysł również dostarcza dla ekspansji wzniosłych niekiedy racjonalizacji i wytłumaczeń.

To, co nauka nazywa warstwą ekspansji zewnętrznej, w N o w y m T e s t a m e n c i e określane jest mianem c i a ł a, zaś warstwie rozwoju wewnętrznego odpowiada biblijne pojęcie d u c h a. Zarówno w Ewangeliach, jak i w Listach Apostolskich znajdujemy wiele ostrzeżeń przed postępowaniem w e d ł u g c i a ł a i wiele napomnień do działania w d u c h u. Właściwy ze swej natury konflikt ciała i ducha został jednoznacznie rozstrzygnięty przez Chrystusa: „Albowiem cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy swojej szkodę poniósł?" Albo: „co da człowiek w zamian za duszę swoją? (Mat. 16:26).

Pomimo tak jednoznacznego rozstrzygnięcia niełatwo jest opanować ekspansję zewnętrzną, szczególnie zaś potrzebę posiadania. Stale bowiem jesteśmy poddawani presji otaczającego nas świata. Przez analogię do fizyki można stwierdzić, iż znajdujemy się pod wpływem „ciśnienia wartości zewnętrznych". Gdy cała prasa pełna jest rozważań o ekonomii, zarobkach, wydatkach i premiach, gdy wokół nas ciągle trwają rozmowy o pieniądzach i sposobach ich zarabiania oraz wydawania, trudno jest oprzeć się temu ciśnieniu. Trudno jest nam, dorosłym, jeszcze trudniej jest dzieciom, których układ wartości nie jest skrystalizowany.

W szkole i na podwórku dziecko obserwuje, jak koledzy i koleżanki posiadający drogie, atrakcyjne zabawki i ładne ubrania stają się obiektem podziwu ze strony reszty dzieci. Łatwo mu w tej sytuacji dojść do wniosku, iż „bogaty" równa się „dobry", że pieniądze są najważniejsze. Jeżeli jeszcze w domu jest świadkiem ciągłych rozmów o pieniądzach — zarówno o ich braku, jak i o sposobach wydawania — utwierdza się w tym przekonaniu. Szybko dochodzi do wniosku, iż najważniejsze są wartości materialne. Owszem, gdzieś tam jest Bóg, ale to w Kościele, w niedzielę. Na co dzień są pieniądze.

Postawa taka jest niezależna od poziomu materialnego, na jakim żyją rodzice: ci przeciętnie sytuowani pragną bowiem stać się bogatymi, biedni chcą być przynajmniej przeciętnie sytuowani, bogaci zaś, jak zwykle, pragną być jeszcze bogatsi. Uaktywnienie warstwy ekspansji zewnętrznej i spotęgowanie potrzeby posiadania prowadzi, szczególnie u dzieci, do zaburzenia równowagi psychiki (w aspekcie psychologicznym) i do oddalania się od Boga (w aspekcie religijnym). A później nie pomogą już nauki w szkole niedzielnej ani „umoralniające rozmowy". Bardzo trudno jest wytłumić rozbudzone potrzeby posiadania i przywrócić psychice równowagę.

Z powyższych rozważań teoretycznych wynikają przynajmniej trzy w s k a z ó w k i p r a k t y c z n e dla rodziców.

1. Dorośli muszą, oczywiście, dbać o materialną stronę bytu rodziny, co szczególnie w warunkach kryzysu ekonomicznego prowadzi do zwiększenia zainteresowania sprawami zarabiania i wydatkowania pieniędzy. Niekonieczne jest jednak wciąganie w te sprawy dzieci. Niech znają wartość pieniędzy i trud uczciwego ich zarobkowania, ale nie wytwarzajmy w nich poczucia, iż pieniądze, o których tata z mamą ciągle rozmawiają, są wartością najważniejszą.

2. Pokazujmy dziecku, już od jego najmłodszych lat, w czym leży prawdziwa wartość człowieka, zaczynając od tego, że nie jest najbardziej godnym przyjaźni ten kolega, który ma najładniejsze zabawki, ani ta koleżanka, która jest najładniej ubrana. Potrzeba posiadania rodzi się bardzo wcześnie. Ile razy widzimy malucha wyjącego pod sklepem o nową zabawkę i matkę, która dla świętego spokoju kupuje mu kolejnego misia lub żołnierza! Tak to się zaczyna. Nie należy oczywiście przesadzać — konieczny jest zdrowy umiar w zaspokajaniu potrzeb dziecka, tak aby nie czuło się ono skrzywdzone a jednocześnie nie pożądało wszystkiego, czego jeszcze nie ma.

3. Pamiętajmy, iż „bycie innym" jest jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie mogą człowieka spotkać. Mały człowiek nie może być w tym samotny — musi znaleźć oparcie w rodzicach. Dlatego też nie ograniczajmy funkcji rodzicielskich do dawania jeść i ubierania. Jeżeli zajmowanie się dzieckiem zmusi nas nawet do okrojenia skromnego budżetu domowego, należy koniecznie znaleźć czas na stałe umacnianie dziecka w wierze i związanych z nią wartościach. Zanim dziecko osiągnie samodzielność i dojrzałość psychiczną, rodzice są dla niego oparciem i, jeśli można użyć takiego określenia, pośrednikami między nim a Bogiem. Jak Jezus uczy nas o Bogu, tak my uczymy nasze dzieci o Jezusie.

* Model psychiki człowieka oparty jest na pracach Antoniego Kępińskiego, Jarosława Rudniańskiego i Krzysztofa Murawskiego.

Ks. Emilio Enrique Castro

W historii Światowej Rady Kościołów jest czwartym sekretarzem generalnym. Na stanowisko to został wybrany 12 lipca br. podczas posiedzenia Komitetu Naczelnego ŚRK w Genewie. Urząd sekretarza generalnego obejmuje 1 stycznia 1985 r.

Emilo E. Castro urodził się 2 maja 1927 r. w wielodzietnej katolickiej rodzinie robotniczej w Montevideo (Urugwaj). Jego ojciec był Chilijczykiem, matka Hiszpanką. W wieku 14 lat Emilio postanowił zostać członkiem Kościoła metodystycznego. Teologię studiował w Buenos Aires (Argentyna) w latach 1944—1950. W 1948 r. został ordynowany na duchownego. Od 1951 do 1953 był pastorem w Duranzo i Trynidadzie — dwóch niewielkich miejscowościach urugwajskich. Dzięki stypendium Światowej Rady Kościołów mógł w latach 1953—1954 kontynuować studia teologiczne w Bazylei (Szwajcaria) u wybitnego teologa reformowanego, Karola Bartha. W tym czasie nawiązał bezpośredni kontakt z międzynarodowym ruchem ekumenicznym. Po powrocie do Ameryki Łacińskiej był w latach 1954—1956 pastorem zboru metodystycznego w La Paz (Boliwia), potem (do 1965) w Montevideo. Okazyjnie prowadził też wykłady w seminariach teologicznych. W latach 1965—1972 był koordynatorem Ruchu na Rzecz Jedności Ewangelickiej w Ameryce Łacińskiej (UNELAM), w tym samym okresie, od 1966 do 1969, sprawował jednocześnie funkcję sekretarza wykonawczego Stowarzyszenia Szkół Teologicznych Ameryki Południowej. W 1970 r. został powołany na prezydenta Kościoła Ewangelicko-Metodystycznego w Urugwaju.

Po pierwszym kontakcie nawiązanym w Szwajcarii związki ks. Emilio E. Castro z Światową Radą Kościołów stawały się z biegiem lat coraz ściślejsze. Uczestniczył w III (New Delhi, 1961) i IV (Uppsala, 1968) Zgromadzeniu Ogólnym, w zgromadzeniach światowych Komisji do Spraw Misji Światowej i Ewangelizacji (Meksyk 1963, Bangkok 1972) oraz w wielu innych konferencjach i sympozjach organizowanych przez ŚRK. Przed rokiem 1968 był również związany z Chrześcijańską Konferencją Pokojową.

1 stycznia 1973 r. ks. Emilio Castro został powołany na dyrektora Komisji do Spraw Misji Światowej i Ewangelizacji ŚRK. Zbiegło się to ze wzrostem napięć politycznych w Urugwaju. On sam znajdował się na liście poszukiwanych przez policję, w jego kościele eksplodowała bomba. „Ale byłem wolnym obywatelem — mówi ks. Castro — i w Światowej Radzie Kościołów znalazłem się nie dlatego, że musiałem opuścić swój kraj. Komisja do Spraw Misji Światowej i Ewangelizacji zaproponowała mi tę funkcję i według mojej oceny było dobrą rzeczą poświęcić parę lat życia temu międzynarodowemu ruchowi".

Krótko po jego wyjeździe do Szwajcarii sytuacja polityczna w Urugwaju uległa dalszemu pogorszeniu. Władzę objęło wojsko, działalność związków zawodowych została zakazana, Kościoły poddano ścisłej kontroli. Wiele wskazuje na to, że jeszcze dzisiaj ks. Castro nie byłby mile widziany w Urugwaju przez tamtejszy reżim wojskowy. Mimo to planował, że jeszcze w tym roku uda się do Ameryki Łacińskiej, aby w Wyższej Szkole Teologicznej w Buenos Aires, którą kiedyś ukończył, objąć stanowisko rektora. „Podczas tych wszystkich lat — wspomina ks. Castro — moje serce i moje myśli wracały stale do Ameryki Łacińskiej, a dobrzy przyjaciele domagali się zdecydowanie mojego powrotu i sięgali w tym celu po odpowiednie argumenty chrześcijańskie". Nie przyszło mu łatwo, jak twierdzi, przekonać samego siebie, że jego miejsce jest w

Światowej Radzie Kościołów, że tam właśnie, jako jej sekretarz generalny, jest najbardziej potrzebny.

Zdaniem ks. Emilio Castro, Światowa Rada Kościołów uległa w minionych 30 latach poważnym przeobrażeniom. Główna różnica między Radą dzisiejszą a organizacją, którą odwiedził w 1954 r., gdy studiował w Szwajcarii, polega na tym, że obecnie jest to organizacja o zasięgu światowym w pełnym znaczeniu tego słowa. Dzięki wkładowi niezależnych Kościołów z Afryki i Kościołów zielonoświątkowych z Ameryki Łacińskiej, tj. tych tradycji chrześcijańskich, „których na początku w ogóle nie brano pod uwagę", Rada „stała się organizmem bardziej skomplikowanym niż dawniej, ale też o wiele bogatszym". Ferment kulturowy, teologiczny i rasowy daje Radzie dynamikę, siłę życiową i napęd, staje się też ważnym czynnikiem twórczym, i tak będzie też w przyszłości. Ks. Castro uważa, że jednym z twórczych elementów są Kościoły prawosławne. „Wprawdzie w Komitecie Naczelnym i w innych gremiach są one już reprezentowane w odpowiedni sposób, lecz liczbę prawosławnych współpracowników Rady trzeba tak zwiększyć, aby odpowiadała ona poczuciu przynależności prawosławnych do Rady i zasięgowi ich współpracy z ŚRK. W pracy codziennej Rada ma w dalszym ciągu charakter protestancki. Moim marzeniem jest, aby pewnego dnia prawosławni byli reprezentowani wystarczająco we wszystkich dziedzinach życia Światowej Rady Kościołów".

Teolog z USA pochodzenia hiszpańskiego, Orlando Costas, pisał niedawno o nowym sekretarzu generalnym Światowej Rady Kościołów: „Kto chce zrozumieć Castro, musi uwzględnić oddziałujące na niego czynniki: ukształtowała go Ameryka Łacińska (...), liczne podróże i kontakty z przedstawicielami różnych tradycji chrześcijańskich, światopoglądów świeckich i innych religii (...), wpływ Karola Bartha, teologiczne wykształcenie, doświadczenie społeczno-kulturalne, wyzwania rzucane przez walki wyzwoleńcze we wszystkich częściach Ameryki Łacińskiej". Ks. Castro mówi: „Co się tyczy mojego kraju, to nie ukrywam swoich specyficznych idei politycznych. Nie widzę żadnej możliwości dla — w wąskim znaczeniu — kapitalistycznego rozwiązania problemów Ameryki Łacińskiej. Wszystkie tamtejsze reżimy wojskowe szukały już takiego rozwiązania, rezultatem tych poszukiwań są przerażająco wysokie długi zagraniczne".

Rolę sekretarza generalnego ŚRK ks. Castro definiuje następująco: „Musi on troszczyć się o to, aby cele Światowej Rady Kościołów nie pozostały w sferze wyobrażeń, lecz zostały zrealizowane w życiu codziennym. Może to się okazać zadaniem bardzo trudnym, ale też porywającym i pożytecznym". Ks. Emilio Castro jest autorem 6 książek i współautorem 7 dalszych; ogółem opublikował blisko 150 artykułów w różnych językach. Włada 6 językami: hiszpańskim, portugalskim, angielskim, francuskim, niemieckim i włoskim. Niedawno przedstawił Uniwersytetowi w Lozannie rozprawę doktorską pt. „Wolność w dziedzinie misji w perspektywie Królestwa Bożego". W maju br. otrzymał doktorat honorowy Westmar College, Le Mars, Iowa (USA).

Kościół Metodystyczny w Urugwaju, z którego wywodzi się Emilio Castro, liczy zaledwie 1000 członków. Fakt, że przedstawiciel tak małej społeczności z odległego kontynentu doszedł do takiego wielkiego znaczenia w światowym ruchu ekumenicznym, świadczy o tym, iż talenty, o których mówi Ewangelia, zakopane są wszędzie, trzeba jedynie chcieć je odkopać.

K.K.

Książki nadesłane

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX

Ladislaus Boros: *Doświadczenie Boga.* Przekład Barbara Tarnas. Warszawa 1983, s. 200, egz. 10.000 + 330, cena zł 150.—

Maria Gołaszewska: *Estetyka rzeczywistości.* Warszawa 1984, s. 252, egz. 5000 + 330, cena zł 290.—

Wilfrid Harrington: *Klucz do Biblii.* Przekład Józef Marzęcki, przedmowa Roland de Vaux OP, Warszawa 1984, wyd. II., s. 608, egz. 30 000+330, cena zł 600.—

Josef Imbach: *Czy Bóg jest odpowiedzią?* Przekład Maria Stelmachowska. Warszawa 1983, s. 164, egz. 10 000 + 330, cena zł 120.—

Ks. Janusz Mariański: *Kościół w społeczeństwie przemysłowym.* Warszawa 1983, s. 268, egz. 5000 + 330, cena zł 280.—

François Mauriac: *Pustynia miłości.* Przekład Stefania Zgórska. Warszawa 1984, wyd. II, s. 152, egz. 20 000 + 330, cena zł 140.—

Pokój Tobie, Polsko! Druga pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny. Wstęp, diariusz i opracowanie Amelia Szafrańska. Warszawa 1983, s. 336, 104 foto czarnobiałe, 101 barwnych, egz. 50 000+330, cena zł 1300.—

Lucjan Rydel: *Betlejem polskie.* Wstęp Józef Szczypka, komentarz muzyczny Tadeusz Maciejewski. Warszawa 1983, s. 100, egz. 10 000 + 330, cena zł 80.—

John M. Todd: *Marcin Luter.* Posłowie ks. Alfons Skowronek, przekład Tadeusz Szafrański. Warszawa 1983, wyd. II, s. 308, egz. 10 000 + 330, cena zł 380.—

ADAM PASZKOWSKI

M u r y

Stajemy wobec drugiego człowieka. Codziennie, bezpośrednio, twarzą w twarz. Zatłoczony tramwaj, kolejka w sklepie, ulica — to sceneria naszych spotkań. I cofamy się zaraz o pół kroku, uciekamy z oczami — boimy się zbyt śmiałego wejrzenia, czyjegoś przestąpienia progu naszej jedynej i niepowtarzalnej intymności. Za moment zaś uzbrojeni w mocny, wyzywający wzrok, znów unosimy głowę. Patrzymy na intruza i sami stajemy się już intruzami. Łatwo nam stawiać między sobą mury. I nigdy nie myślimy, jak cudownym wydarzeniem jest każde spotkanie drugiego człowieka. Zagubieni w milionach świetlnych lat, całych wiekach bezdusznej przestrzeni gwiezdnej, otrzymujemy niepowtarzalną szansę zatrzymania się przed identycznie myślącą, cierpiącą i kochającą istotą. I to jest cud właśnie.

Zbyt jeszcze mało między nami uśmiechu, troskliwej myśli, zbyt mało solidarności. Panuje wzajemna niechęć, lęk i agresja; budujemy między sobą ściany, zasieki — mury. Jakby nie dość było wspólnego gmachu, każdy pragnie mieć w nim własną klatkę. I ma.

Czy można nazwać to wolnością? Czy istotnie rzeczywistość, w której dane nam żyć, pozwala znaleźć dla siebie azyl prywatnej wolności? Pozornie może na to wyglądać. Mamy domy szczelnie pozamykane przed obcymi dziesiątkami zamków, blokad i sztab. Mamy samochody pozwalające nie ocierać się na codzień o tłum na chodnikach i w autobusach. Uciekamy w naukę i pracę, odgradzamy się od innych gazetą lub programem telewizyjnym; mamy wiele sposobów, aby izolować się od drugiego człowieka i od Boga, od wspólnoty narodów i Kościoła, od niepokoju i zbędnych nadziei. Ale cała ta konstrukcja zaczyna się walić w momencie, gdy nagle wypadamy z naszej dotychczasowej orbity. Choroba, utrata mienia, odejście kogoś bliskiego sprawia, że stajemy się zależni od woli i działania innych ludzi i pancerne ściany naszej prywatności zaczynamy odczuwać już nie jako izolację od denerwującego świata zewnętrznego, ale jako mury tłumiące nasz głos wzywający pomocy.

Wiele jest barier dzielących ludzi. Myślę, że można je podzielić na dwa rodzaje. Pierwszy to bariery, które dzielą nas od siebie bez względu na naszą kondycję społeczną, psychiczną i fizyczną. Izolujemy się jedni od drugich, by bronić swego prywatnego, intymnego świata. Boimy się utraty tego świata — jest to specyficzny rodzaj strachu. Jest też w nas strach zwykły — przed napaścią fizyczną lub psychiczną, przed czyjąś wrogością lub brutalnością. To strach powoduje, że przyjmujemy wobec innych postawę obronną. To on pobudza do wrogości wobec każdego przypuszczalnego agresora lub też sprawia, że opancerzamy się obojętnością. Doskonałą i straszliwą — taką, która pozwala, by na ulicy ruchliwego miasta, na oczach nie reagującego tłumu samotnie umierał człowiek.

Drugi rodzaj to bariery między ludźmi silnymi i słabymi, bogatymi i biednymi, chorymi i zdrowymi. Rodzą je z jednej strony postawy wyższości: jestem silny, bogaty i zdrowy, więc lepszy, i mogę być z tego dumny; z drugiej — poczucie niższości: on jest lepszy, więc nie mam z nim nic wspólnego, muszę się mu jedynie podporządkować.

Można jeszcze mówić o zazdrości, o zawiści wobec drugiego człowieka, bardziej obdarowanego niż ja, o budzącym we mnie odrazę poczuciu zależności od tego silniejszego; można mówić wreszcie o konwenansach nie pozwalających łamać izolujących nas od siebie barier. Można, ale chyba już to, co zostało powiedziane, daje do myślenia.

— Nie mam człowieka — rzekł do Chrystusa człowiek leżący opodal cudownej sadzawki Betezda — aby mnie wrzucił do wody, gdy się ona poruszy; zanim zaś ja sam dojdę, inny przede mną wchodzi (Jn 5:7). „Nie mam człowieka" — czy można usłyszeć bardziej tragiczną w swej wymowie skargę?

Istnieje ogromna skala zła i cierpień, jakich doznają ludzie. Cierpiący niejako przeciętnie uzyskują często pomoc innych — też niejako przeciętną. Ale są i tacy, których cierpienie wykracza poza tę przeciętną, a ciągła, nieprzerwana pomoc i opieka innych jest dla nich warunkiem jakiejkolwiek egzystencji. To oni właśnie przede wszystkim potrzebują i wzywają drugiego człowieka. Okrutna ironia losu kryje się w tym, że między nimi — wołającymi a wzywanymi istnieją bariery o wiele trudniejsze do pokonania niż te, z którymi stykamy się na codzień. Gdy na naszej drodze pojawia się człowiek słaby, chory, okaleczony, powiedzmy ogólnie — niepełnosprawny, reagujemy najczęściej lękiem. Boimy się cudzego cierpienia. Ale nie dla tego, że jest to widok nieestetyczny. To coś głębszego, coś zakodowanego głęboko w pokładach naszej podświadomości. Myślę, że chyba podobnie boimy się widoku śmierci.

Na twarzach osób o kulach, na wózkach, z białą laską w dłoni wielu ludzi dostrzega coś w rodzaju stygmatu; osoby takie są dla nich jakby naznaczone cierpieniem, powiedzmy ostrzej —

Dokończenie na s. 16

MAREK RUSZCZYC

Tajny dyktator

W 120 rocznicę egzekucji Romualda Traugutta

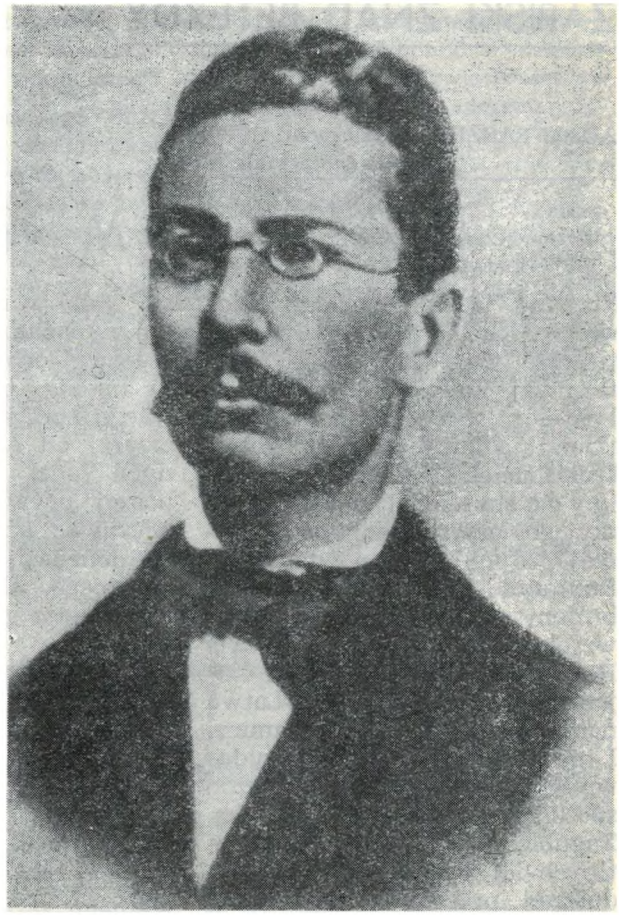

Jesienią 1863 r., w oficynie domu przy ulicy Smolnej w Warszawie, w mieszkaniu Heleny Kirkorowej, dawnej aktorki teatralnej z Wilna, zamieszkał nowy lokator. Nazywał się Michał Czarnecki i podawał się za kupca z Galicji, ale jak na kupca prowadził dziwny tryb życia. Dniami i nocami przesiadywał przy stole zawalonym papierami i książkami, wciąż coś czytał i pisał. Co wieczór opuszczał mieszkanie na 2—3 godziny. I tak było przez sześć długich miesięcy, ostatnich miesięcy powstania 1863 r., kiedy już wszystko się rozprzęgało, na coraz to nowych terenach kraju zamierała walka zbrojna, ogół społeczeństwa był zmęczony i niechętny dalszej walce, a najlepsi patrioci albo polegli, albo siedzieli w lochach rosyjskich, albo zaludniali syberyjskie szlaki. W lokatorskim pokoju u pani Kirkorowej pracował samotny człowiek, który chciał odmienić ten stan rzeczy i w poczuciu pełnej odpowiedzialności wziął w swe ręce tajną dyktaturę powstania, aby ratować ginącą sprawę.

Dla Romualda Traugutta, obejmującego 17 października 1863 roku swój tragiczny urząd sternika sprawy powstańczej, nie wszystko było stracone. Stał on bowiem na stanowisku, że powstanie — pomimo wielkich ofiar i wyrzeczeń ze strony narodu — musi być kontynuowane i przybrać tak wielkie rozmiary, aby ewentualna interwencja z Zachodu mogła być przez Polskę przyjęta nie jak jałmużna i łaskawa protekcja, lecz jak prawdziwa pomoc ze strony sprzymierzeńców. Jak pisze wybitny historyk Jan Grabiec w wydanej przed wojną pracy „Powstanie styczniowe 1863—1864", Traugutt „jako człowiek głęboko i szczerze religijny, bezgranicznie ufał jednemu tylko, mianowicie Opatrzności. W Jej też opiekę nad słuszną sprawą polską, której sam całkowicie się oddał, wierzył niezłomnie". Bardzo mocno ujawnia się ta wiara we wszystkich odezwach, manifestach, rozkazach i korespondencji dyktatora powstania. Nie stracił jej nigdy, nawet w latach swej służby w armii carskiej.

Dziwić może fakt, że właśnie Traugutt obrał tak nienawistną Polakom zawodową służbę w armii carskiej. Ale — jak twierdzi jego biograf i przyjaciel Marian Dubiecki — chciał on przede wszystkim zdobyć gruntowną i rozległą wiedzę wojskową. Wierzył, że nadarzy się okazja oddania jej w służbę Ojczyzny. Ponadto należy pamiętać, że cała „zdolniejsza młodzież polska z Królestwa oraz ziem ukraińskich, białoruskich i litewskich tłumnie ciągnęła na uniwersytety w Petersburgu, Kijowie i Moskwie. Było to rzeczą zrozumiałą, gdyż po powstaniu listopadowym zamknięto polskie uniwersytety w Warszawie i Wilnie oraz inne wyższe zakłady naukowe. Studiować poza granicami cesarstwa władze nie pozwalały" (Zbigniew Ćwiek: „Przywódcy powstania styczniowego", Warszawa 1963). Wśród tej młodzieży znalazł się i Traugutt. Przez dwa lata przygotowywał się i zabiegał o przyjęcie do petersburskiej Akademii Wojsk Inżynieryjnych, a gdy te wysiłki spełzły na niczym, trafił do armii rosyjskiej jako junkier-ochotnik. Przyjęto go do 3 batalionu saperów stacjonującego w Żelechowie. Po czterech latach zdał celująco egzaminy oficerskie i w 1848 r. otrzymał stopień chorążego, a w pięć lat później (1853) nominację na porucznika. Jako carski oficer brał udział w kampanii węgierskiej 1849 i w wojnie krymskiej. W latach późniejszych wykładał też w Wyższej Akademii Wojskowej w Petersburgu.

Tymczasem nadeszły wydarzenia, które zmieniły bieg życia Traugutta i przesądziły o jego tragicznym losie: w Warszawie podczas manifestacji patriotycznej 27 lutego 1861 r. wojsko strzela do bezbronnego tłumu zabijając 5 osób, a 8 kwietnia na placu Zmkowym pada 100 osób. Temperatura uczuć patriotycznych wzrastała...

Na Ziemi Kobryńskiej, gdzie Traugutt po powtórnym małżeństwie (z Anną Kościuszkówną, wnuczką po bracie Naczelnika!) urządził swój nowy dom, działali już dwaj jego koledzy z gimnazjum: Apolinary Hofmeister i Jan Mitraszewski. Mimo węzłów koleżeństwa i sąsiedztwa nie kwapili się oni jednak z wciągnięciem

Traugutta do prac przedpowstaniowych. Dotarły bowiem tutaj wieści o jego nienagannej służbie w armii carskiej i obawiano się, czy Rosjanie go nie „przekabacili". Jak widać, nikt nie znał w istocie jego prawdziwych uczuć i dążeń. Poznają je w swoim czasie...

W 1862 r. widzimy Traugutta po raz ostatni w Petersburgu. Składa lakoniczną prośbę o dymisję. W odpowiedzi otrzymuje nominację na podpułkownika. Dymisji nie cofa. W czerwcu 1862 r. przestaje być oficerem armii imperatora Rosji. Gotuje się do swego nowego powołania. Dymisja w takim momencie była wymowna: świetnie zapowiadający się oficer rzuca służbę w armii carskiej w chwilach dla kraju przełomowych. Taka decyzja wzbudziła zainteresowanie jego osobą wśród sprzysiężonych, którzy od nieufności przeszli od razu do pełnego wtajemniczenia go i zaproponowali mu dowództwo nad powstaniem zbrojnym na Ziemi Kobryńskiej.

Powstanie na Białorusi wybuchło kilkanaście tygodni później niż w Królestwie i wzięli w nim górę biali, ku którym ciążył Traugutt. Białoruskie chłopstwo pozostało wobec powstania obojętne. Oddziały powstańcze formowano w trudzie. W początkach maja, według słów Traugutta, partia kobryńska liczyła niewiele ponad 200 ludzi i składała się „ze szlachty, urzędników, niewielkiej ilości dworskich służących i włościan". W noc wyznaczoną rozkazem mobilizacyjnym zjawił się Traugutt w punkcie zbornym w lesie. Pod jego okiem luźna partia kobryńska zmieniła się w karnych i dobrych żołnierzy. Jako jeden z nielicznych dowódców powstańczych Traugutt odniósł kilka efektownych sukcesów. 17 maja 1863 r. pod Horkami wciągnął w zasadzkę przeważające siły wroga, w pięć dni później pokonał ścigające go oddziały rosyjskie, a kiedy otoczono jego obóz nad kanałem łączącym Pinę z Muchawcem, zdołał mimo to uratować znaczną część swego oddziału.

Władzom rosyjskim było wiadomo, iż na czele powstania kobryńskiego stanął „były pułkownik" Traugutt, ale dzięki fałszywemu meldunkowi długi czas uważano go za poległego. Tymczasem on aż do końca czerwca ukrywał się w Ludwinowie, w domu pisarki Elizy Orzeszkowej, wspierającej czynnie powstanie. Orzeszkowa pozostawała pod głębokim wrażeniem osobowości Traugutta, nazywała go „wcieleniem cnoty męskiej, rycerskiej i polskiej". W drugiej połowie lipca odważna dama „wśród tysięcznych niebezpieczeństw" odwiozła Traugutta przebranego za lokaja aż do granic Królestwa. Mąż pisarki, Piotr Orzeszko, drogo zapłacił za pomoc przyszłemu dyktatorowi. Zadenuncjowany przez służbę, został aresztowany w październiku 1863 r., długo siedział w więzieniu, aby w marcu 1865 r. powędrować na zesłanie do guberni permskiej. Do kraju wrócił w 1867 r.

Pod koniec lipca 1863, gdy walka zbrojna wygasła na tych terenach, znalazł się Traugutt w Warszawie. Z trudem udało mu się nawiązać kontakt z Rządem Narodowym (rząd białych pod wodzą Karola Majewskiego). Ponieważ rząd ten wierzył w skuteczną interwencję Zachodu na rzecz powstania, Traugutt (mianowany 14 sierpnia generałem) otrzymał polecenie wyjazdu z misją zagraniczną, której zadaniem numer jeden było przyśpieszenie interwencji Zachodu. Wysłannik rządu konferował w Paryżu z wybitnymi politykami emigracyjnymi, z księciem Władysławem Czartoryskim na czele, i badał stan sprawy polskiej w dyplomacji europejskiej. Otrzymał posłuchanie u księcia Hieronima Bonaparte, kuzyna cesarza Napoleona III, który lubił uchodzić za polonofila, ale przekonywał, że dla poparcia powstania potrzebne są jego „sukcesy, sukcesy i jeszcze raz sukcesy". W tym stanie rzeczy realnie myślący Traugutt pesymistycznie oceniał szanse na szybką pomoc Anglii i Francji. W zaszyfrowanym raporcie do Rządu Narodowego pisał: „Sprawa nasza, jako obrona pogwałconych praw i sprawiedliwości, znajdzie sympatię i poparcie u wszystkich ludów, u rządów zaś tam tylko, gdzie bezpośrednio wymagają tego ich interesy".

Z tym przekonaniem wrócił do Warszawy jesienią. Tymczasem we władzach powstańczych zaszły duże zmiany. Upadł rząd białych, rozpoczął kadencję tzw. rząd wrześniowy czerwonych. Na działaczy powstańczych spadały masowe represje, rozluźniała się przez to dyscyplina, zaogniały walki frakcyjne, trwała dezercja z szeregów powstańczych. Traugutt nie mógł patrzeć na to obojętnie. W porozumieniu ze Stanisławem Krzemińskim, Józefem Kajetanem Jankowskim, Józefem Gałęzowskim i Wacławem Majewskim postanowił ująć ster powstania. Nastroje były takie, że właściwie wszyscy z wyjątkiem skrajnego skrzydła czerwonych przyjęli to z ulgą. Gdy 17 października 1863 zjawił się Traugutt na posiedzeniu Rządu Narodowego, jego członkowie oddali pieczęcie i dokumenty. Rozpoczęły się rządy dyktatury tajemnej Romualda Traugutta, ostatnie sześć miesięcy, w których dźwigać on będzie z wielką energią i poświęceniem tę władzę, która coraz bardziej przypominała krzyż.

Ratować i porządkować co się da — oto hasło dyktatury Traugutta. W ciągu zaledwie kilku tygodni odbudował on zdruzgotane i sparaliżowane aresztowaniami i dezercją władze centralne powstania, tak iż wydziały i agendy Rządu Narodowego zaczęły na nowo normalnie funkcjonować. Rozpoczął to porządkowanie od Organizacji Miejskiej, która w Warszawie traciła wartość bojową i sprawność działania pod niedołężnym kierownictwem Wacława Przybylskiego, człowieka umysłowo płytkiego i chwiejnego charakteru. Traugutt usunął go bez wahania i na jego miejsce powołał Aleksandra Waszkowskiego, żarliwego konspiratora (otrzymał on od Dyktatora tytuł Naczelnika miasta Warszawy). Waszkowski z jakże szczupłymi siłami rozpoczął udaną walkę ze szpiclami i żandarmerią, rozwinął kontrwywiad, zdobywał wiadomości nawet z tajnych biur carskich, dawał ochronę kurierom i łącznikom. To on zepewnił przez czas jakiś doskonale zorganizowaną ochronę osoby Dyktatora i rozprawiał się bezlitośnie z próbami wichrzenia przeciwko niemu. Z samym Trauguttem kontaktowali się tylko dyrektorzy wydziałów, tak iż do końca o tym, że on jest dyktatorem powstania, wiedziało zaledwie kilka osób. Niestety, jak się okaże, o jedną za dużo...

Z pokoju na ulicy Smolnej rozsyłane były dyrektywy, pisma, rozkazy. Traugutt zmienił strukturę oddziałów powstańczych, połączył je w korpusy, zniósł organizacje terytorialne. Krzesał z powstania ostatnie wartościowe kadry i obsadzał nimi stanowiska w terenie. Żądał surowo egzekwowania od szlachty przepisów styczniowego dekretu o uwłaszczeniu chłopów. Żądał pracy coraz ofiarniejszej w warunkach coraz trudniejszych.

Postać Traugutta — romantyka ukrytego pod pozorami twardego realizmu, urodzonego konspiratora samo-

tnie dźwigającego swe brzemię, człowieka niezachwianej wiary w słuszną sprawę — fascynowała Józefa Piłsudzkiego. Taki właśnie obraz Dyktatora zachował on z czcią w sercu i unieśmiertelnił na kartach swego studium „Rok 1863". Mimo 30-letniego przedziału czasu łączył Piłsudzkiego z postacią Traugutta jakiś łańcuch tajemnych przeznaczeń, który marszałek zawarł w krótkim motcie: „Być zwyciężonym, a nie ulec — to zwycięstwo".

W grudniu 1863 r., uprawiając swą politykę „otwartej dyplomacji", skierował Traugutt posłanie do narodu angielskiego, dziękując za liczne adresy społeczeństwa angielskiego, domagającego się od swego rządu czynnej pomocy dla polskiego powstania.

Oprócz rozbudowy regularnej armii usiłował Traugutt poderwać lud do pospolitego ruszenia. „Zalecamy (...) stanowczo — pisał — zaniechać robót ze szlachtą, którą przyjmować do pracy tyle tylko, o ile sama się garnie — przedłużać zaś i rozwijać wszelkie roboty tak organizacyjne, jak i wojenne głównie z ludem i przez lud tak wiejski, jak i miejski. Szlachta za to niech ponosi ciężary materialne".

Tymczasem gasnące powstanie straciło w marcu swą naturalną bazę, jaką była dotąd Galicja: 29 lutego 1864 r. Wiedeń ogłosił w Galicji stan oblężenia. Także rząd pruski wzmógł swoje akcje przeciw powstaniu. W rozpaczliwym manifeście do ludów Europy z 18 marca Dyktator piętnował tych dwóch zaborców jako nieprzejednanych wrogów Polski i wiernych sprzymierzeńców cara. Kończył Traugutt ten manifest słowami nadziei wbrew wszystkiemu: „Polska istnieć będzie, bo istnienie jej dla postępu ludzkości nie tylko jest potrzebnym, ale i koniecznym".

Również w marcu 1864 r. znaczna część szlachty zaczęła jawnie sabotować zarządzenia Traugutta i zaprzestała płacenia podatku narodowego, a niektórzy posuwali się do zdrady i kolaboracji; mnożyły się adresy błagające Rosjan o uwolnienie kraju „od tego robactwa", czyli powstańców.

Car z Petersburga wydał nakaz dobicia powstania. Zwiększono w Warszawie liczbę policji i szpicli (jeden policjant na 40 mieszkańców). Trwały masowe obławy, do cyrkułów spędzano setki ludzi. Podejrzani o czynny udział w powstaniu wędrowali do Cytadeli. Pękać zaczęły wszystkie tarcze osłaniające wyższe władze powstania. Wielu nie czekając na aresztowanie, ratowało się ucieczką za granicę. W lawinie na ślepo wymierzanych przez Rosjan ciosów, któryś trafić musiał celnie i spowodować reakcję łańcuchową. Traugutt nie wiedział, że kamień, który poruszył lawinę, spadł 27 stycznia 1864 r., kiedy aresztowano ucznia V klasy gimnazjalnej, Leona Łyszkiewicza. Chłopak wiedział na tyle dużo, że po nitce dotarto do kłębka: uderzono w górę konspiracji. 29 stycznia aresztowano dyrektora Wydziału Skarbu, Józefa Toczyskiego. W dwa tygodnie później wpadł w ręce żandarmerii sekretarz stanu Jan Ławcewicz z tajnymi materiałami rządowymi. Zaraz potem odkryli Rosjanie ostatnią tajną drukarnię, 11 marca aresztowali dyrektora Wydziału Spraw Wewnętrznych Rafała Krajewskiego, a następnego dnia dyrektora Wydziału Komunikacji Romana Żulińskiego. Przestała działać Ekspozytura, czyli centrala łączności powstańczej: aresztowano jej kierownika Jana Jeziorańskiego i cały aparat. Przy Traugutcie zostało już tylko dwóch ludzi: Marian Dubiecki, teraz minister i sekretarz od wszystkiego, i Aleksander Waszkowski, który rozsyłał jeszcze po kraju luźnych kurierów. Gdy 10 kwietnia aresztowano Dubieckiego, Traugutt wiedział, że zostały mu zaledwie godziny. Zniszczył wszystkie kompromitujące papiery. W nocy z 10 na 11 kwietnia 1864 roku do mieszkania na Smolnej wkroczyła policja. „To już?" — powiedział Dyktator i zaczął się ubierać...

Traugutta przetransportowano najpierw na Pawiak, później na Cytadelę. Z zeznań tych, którzy się załamali, wnioskowano, iż to ktoś ważny, ale jeszcze go nie zidentyfikowano (utrudniał identyfikację fakt, iż w kartotekach policji Traugutt ciągle figurował jako zabity). Aresztowani poprzednio dyrektorowie wydziałów trzymali się bohatersko. Mimo rozlicznych udręk fizycznych i psychicznych nikogo nie wydali. Krajewski powiedział trybunałowi śledczemu: „Wiem, co mnie za to czeka. Prawo ludzkie każe mnie powiesić — prawo boskie nakazuje mi ludziom krzywdy nie czynić. Niechaj będę powieszony, a ludzi na zgubę nie wydam". Aż do 9 kwietnia nazwisko Traugutta nie padło w śledztwie. Dopiero pracownik Wydziału Skarbu, Artur Goldman, zeznał, iż słyszał od Wacława Przybylskiego, że przybyć miał do Warszawy Romuald Traugutt dla objęcia kierownictwa powstania i zamieszkać na Smolnej pod nazwiskiem Czarnecki. Na tej podstawie aresztowano Dyktatora, choć uważano, że jest rzeczą niemożliwą, aby był nim Traugutt. Jego tożsamość potwierdził dopiero pułkownik rosyjski Zdanowicz, dawny współtowarzysz służby wojskowej. Wobec tego Traugutt przyznał się do swej tożsamości i udziału w powstaniu na Polesiu, zaprzeczył natomiast, aby później brał udział w czymkolwiek. Pobyt w Warszawie tłumaczył „sprawami rodzinnymi", a przybrane nazwisko chęcią przetrwania w niespokojnym mieście. Około 20 kwietnia sytuacja się zmieniła. Sypiący w śledztwie obciążali swymi zeznaniami wszystkich współpracowników Traugutta. W tej sytuacji Dyktator postanowił ujawnić się jako jedyna władza powstania: to on wszystko prowadził, to on za wszystko odpowiada. Na pytanie słynnego z okrucieństwa przewodniczącego trybunału, Tuchołki: „To, wy, znaczy, prezes rządu?", odpowiedział: „Nie prezes, bo rządu nie było. Jestem dyktatorem powstania". Zapytany o cele powstania, odparł: „Celem jedynym i rzeczywistym powstania naszego jest odzyskanie niepodległości i ustalenie w kraju naszym porządku opartego na miłości chrześcijańskiej, na poszanowaniu prawa i wszelkiej sprawiedliwości, udzielenie obywatelom należytej swobody, bez naruszenia powagi i prawdziwej siły, jaka się władzy najwyższej, strzegącej porządku i bezpieczeństwa wszystkich, należy".

Namiestnik w Królestwie, hrabia Berg, nie chciał przyjąć do wiadomości, że jeden człowiek, i do tego były oficer carski, przez sześć miesięcy przewodził powstaniu i zadawał Rosji ciężkie straty. Roztrąbiono po Europie, iż rozpocznie się proces Rządu Narodowego z Trauguttem jako „prezesem" na czele. Powściągliwa dotąd wobec Dyktatora komisja śledcza zaczęła stosować tortury psychiczne i udręki fizyczne, aby zmusić go do potwierdzenia tej wersji: zamknięto Traugutta w karcerze, trzymano na wilgotnej podłodze, morzono głodem, straszono. Wszystko na nic. Traugutt milczał. Robił rachunek życia i modlił się. Pozwolono mu napisać list do żony. „Nic nie wiem — pisał — co się z

wami teraz dzieje, nawet nic mi nie wiadomo, czy Cię doszła wieść o mym aresztowaniu (...). Cokolwiek Ojciec nasz Niebieski zsyła na nas, z zupełnym poddaniem się i z synowską wdzięcznością przyjąć winniśmy, i że to wszystko nie jest skutkiem ślepego przypadku, ale wolą Bożą zrządzone (...). Cokolwiek bądź ze mną się stanie, nieskończone dzięki składam codziennie Bogu".

Musiał ten list starczyć za ostatnie pożegnanie, gdyż 7 lipca 1864 r. Wojenny Sąd Polowy skazał Traugutta i 4 innych głównych oskarżonych na śmierć. Namiestnik Berg wyrok ten zatwierdził. Traugutt miał już spokój: zezwolono na odwiedziny spowiednika, ale żonie odmówiono zgody na przyjazd do Warszawy. Siedzący w celi obok Marian Dubiecki wystukał przez ścianę: „Jest pan dla nas wzorem, modlimy się za pana". Traugutt odpowiedział: „A ja za was".

5 sierpnia 1864 r. rozgrywa się ostatni akt dramatu. Na zalanych słońcem stokach Cytadeli ustawiono pięć szubienic. Otaczał je prostokąt bagnetów. Ogromny plac pod Cytadelą zaroił się 30-tysięcznym tłumem. Wyprowadzono 5 męczenników w białych skazańczych koszulach. Kierowani tym samym impulsem podali sobie ręce. Ujrzawszy tłum na dole, Traugutt się rozjaśnił: „Oto Polska, która nas żegna!" — powiedział do Krajewskiego. A widząc, jak matki podnoszą dzieci ku górze, dodał: „One doczekają Polski wolnej". Następnie pobłogosławił ludowi znakiem krzyża. Spokojny, szepcząc modlitwę, wstąpił na szafot. Po raz pierwszy i ostatni ujrzał lud swego Dyktatora. „Wszystko, co żyło, padło na kolana z modlitwą, jękiem i krzykiem". W chwilę potem ciało zawisło na szubienicy. Na placu zaległa śmiertelna cisza... „Życia nie żałował dla siebie (...). Pełen rezygnacji, spokoju i poddania się woli Boga umarł z prawdziwie chrześcijańską odwagą" — napisał spowiednik Traugutta.

Powstanie, którym sterował, pożegnało go słowami odezwy pióra ukrywającego się jeszcze Aleksandra Waszkowskiego, rozrzuconej w kościołach i miejscach publicznych: „(...) Bracia! Oddajmy cześć męczennikom i uświęćmy ich pamięć nie łzą żalu i rozpaczy, ale przysięgą wstąpienia w ich ślady. Daliśmy dowody, że umierać umiemy i że męka jest dla nas igraszką, ale bądźmy jak oni wytrwali, jak oni walczmy bezustannie, a miliony ludu wyrwiemy z nędzy i niewoli i popioły braci męczenników w wolnej spoczywać będą Ojczyźnie".

WITOLD BENDER

Po śladach Jana Łaskiego we Frankfurcie nad Menem

Zapewne pastor Ulrich Dusse prawił mi nadmierne komplementy oświadczając, nie bez uśmieszku wszakże, że po Janie Łaskim byłem drugim polskim ewangelikiem reformowanym, który pojawił się w zborze frankfurckim. Faktem jest jednak, że nikt aktualnie nie pamięta, czy i kiedy jakikolwiek inny „reformowany" z Polski odwiedził ten zbór. Ogromny to dla mnie był zatem zaszczyt i duża przyjemność. A wszystko spowodował przypadek, choć raczej nie! Księdza U. Dusse z niemieckiej parafii ewangelicko-reformowanej we Frankfurcie n. Menem[1] spotkałem na konferencji „Wyznanie wiary z Barmen 1934—1984", obradującej w Wuppertalu na przełomie lutego i marca tego roku. Tymczasem inny, wcześniej przeze mnie poznany duchowny ewangelicko-reformowany z Frankfurtu, zaprosił mnie już do swojej parafii. W niedzielę 4 marca, na krótko przed odlotem do kraju, odwiedziłem więc współwyznawców nad Menem. Ucze-

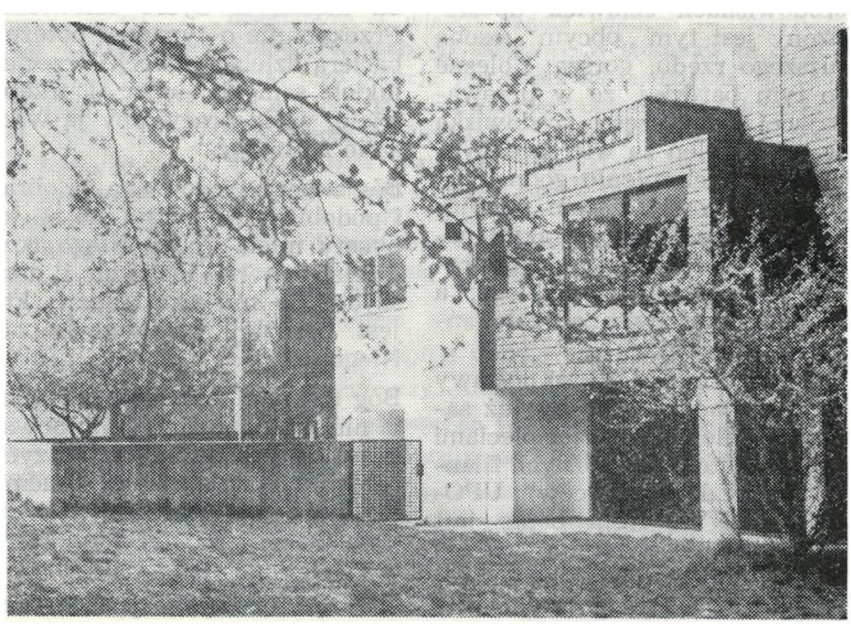

Parafia ewangelicko-reformowana we Frankfurcie

stniczyłem w nabożeństwie i Wieczerzy Pańskiej, a przekazując serdeczne pozdrowienia od Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Polsce nawiązałem do naszej długiej tradycji i świadomości dziedzictwa konfesyjnego po Ojcu polskiego Kościoła — Janie Łaskim. Była to krótka, lecz bardzo miła wizyta w parafii, w której żyje pamięć o polskim reformatorze i gdzie znajduje się jego portret ofiarowany wspólnocie frankfurckiej przez reformowaną społeczność fryzyjskiego miasta Emden.

Jan Łaski na szlakach swoich dużych, europejskich podróży, walcząc wszędzie namiętnie o „odnowę Kościoła Chrystusowego", doznając licznych niepowodzeń, lecz i odnosząc sukcesy, odwiedzał także Frankfurt n. Menem. Był tu krótko pod koniec lat trzydziestych XVI stulecia, a następnie w połowie lat pięćdziesiątych. We Frankfurcie, „Wolnym Mieście Rzeszy", znalazły schronienie znane Łaskiemu grupy niderlandzkich i wallońskich „wygnańców wiary". W r. 1555, dnia 15 września, mogli oni tu odbyć swoje pierwsze publiczne nabożeństwo ewangelicko-reformowane. Nie wiem, czy Łaski brał w nim udział, ale jest to bardzo prawdopodobne. Wiadomo, że za czasów Edwarda VI (1537—1553), przychylnego zachodzącym procesom Reformacji, J. Łaski działał w Anglii, skąd musiał uciekać wraz ze swym cudzoziemskim zborem, gdy w r. 1553 tron angielski objęła Maria I Tudor, zwana Krwawą, prześladująca protestantów. Po nieudanj próbie zatrzymania się w Danii, Łaski z gronem współwyznawców wylądował u brzegów Fryzji, a stamtąd niezwłocznie udał się do Frankfurtu n. Menem. Przebywał tu też w r. 1556, prowadząc dysputy teologiczne z Brenzem, nieustępliwym luteraninem pochodzącym ze Stuttgartu, które nie doprowadziły, niestety, do porozumienia. Niewykluczone zatem, że pod koniec lata r. 1555 mógł osobiście uczestniczyć we wspomnianym pierwszym nabożeństwie. Tak czy inaczej, wniósł on znaczny wkład w kształtowanie podwalin reformowanego zboru we Frankfurcie, który przeszedłszy różne koleje losu, dziś jest żywym organizmem, działającym w pięciu filialnych parafiach na terenie miasta.

Ksiądz U. Dusse i starsi zboru wyrazili chęć nawiązania bliższych kontaktów ze współwyznawcami w Polsce.

[1] We Frankfurcie n. M. istnieje także autonomiczna francuska parafia reformowana. Obie wspólnie wydają miesięcznik „Reformiertes Kirchenblatt". W nr 10/1982 tego pisma zamieszczona została fotografia tablicy Jana Łaskiego, znajdującej się w warszawskim kościele reformowanym.

M u r y

Dokończenie ze s. 11

napiętnowane. W iluż jeszcze środowiskach człowiek upośledzony jest tym „obcym", osobą niższego rzędu, gorszą. Bolesne to tym bardziej, że w przeważającej swej części środowiska te od pokoleń są wierzące. Według nich cierpienie godne jest jedynie litości, czasem poświęcenia. Konsekwencją takiej postawy może być tylko odrzucenie równego, partnerskiego, a więc prawdziwie chrześcijańskiego, stosunku.

O powszechności takiej postawy może świadczyć choćby już samo określenie, dziesięcioleciami całymi kute przez różnych filantropów i „dobroczyńców": UPOŚLEDZONY*. Nota bene, jest ono, jeśli nie jedynym, to najpopularniejszym określeniem tego zjawiska. Być gorszym, niższego rzędu, to największa chyba klęska w życiu człowieka. Przekonanie o tym jest potężną barierą dzielącą dwóch, przecież takich samych, ludzi. I trzeba wiele, wiele pracy, aby ją wreszcie zniszczyć.

Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje nie po to, byśmy mieli wobec Niego rozdzielać się na lepszych i gorszych. Bo nie nam sądzić, kto jest bardziej wartościowy dla Niego.

Bóg dał nam wspólnotę Kościoła nie po to, abyśmy eliminowali z niej tych, którzy w naszych oczach nie są naszymi braćmi. Bo któż jest bardziej bratem Chrystusa, jeśli nie ten, który cierpi?

Rzeczą zdrowych jest zrozumieć, że inwalidzki wózek jest dla mnie tym, czym dla innych wygodne, nie za małe i nie za duże, buty; że moja biała laska czy aparat na nodze jest tym, czym dla kogoś innego okulary. Mury, które sami między sobą stawiamy, cały czas rosną i już niedługo może być tak, że wołania o pomoc nie tylko słabego, ale nawet najsilniejszego człowieka — choćbyśmy chcieli — nie usłyszymy.

* Słowo to pochodzi od przymiotnika „pośledni", czyli gorszej jakości, trzeciorzędny. „Upośledzony" to twór słowny powstały, jak inne mu podobne, przez dodanie przedrostka „u , np. upokorzony, uprowadzony, ukrzywdzony przez kogoś. Przez kogo jest się upośledzonym...?

W lipcu ub. r. zakończyliśmy cykl rozmów prowadzonych przez s. Kingę Strzelecką na temat judaizmu, zatytułowany „Dawidowe korzenie". Obecnie, po powrocie z drugiego pobytu s. Kingi w Izraelu, rozpoczynamy nowy cykl poświęcony tej samej tematyce, koncentrujący się wokół problemów antysemityzmu, teologii Izraela i tajemnicy Narodu Wybranego. Ma on na celu, podobnie jak „Dawidowe korzenie", pogłębienie poczucia wspólnoty z naszymi braćmi żydami. Użyte w tytule cyklu hebrajskie słowo „szalom" oznacza wszechstronnie pojęty pokój — z Bogiem i z ludźmi, w okolicznościach zewnętrznych i w sercu człowieka.

Pierwszym rozmówcą s. Kingi jest Pierre Lenhardt, znany już Czytelnikom z dwuodcinkowej rozmowy pt. „Nie do wyśledzenia są Jego drogi", publikowanej w cyklu „Dawidowe korzenie" (nr 3 i 4/83). Dla przypomnienia podajemy o nim krótką notkę informacyjną.

Antysemityzm chrześcijański?

CZĘŚĆ PIERWSZA

Pierre Lenhardt — Francuz, zakonnik ze zgromadzenia Nôtre-Dame de Sion, wykładowca Instytutu Ratisbonne w Jerozolimie, specjalista w dziedzinie literatury rabinackiej.

SIOSTRA KINGA — Czy uzasadnione jest twierdzenie, że w Nowym Testamencie tkwią podstawy chrześcijańskiego antysemityzmu?

PIERRE LENHARDT — Nowy Testament z całą pewnością może dawać — i daje — podstawy do interpretacji antysemickiej, bo zawiera — zarówno w ewangeliach synoptycznych, jaki i w Ewangelii Jana, a także w pismach Pawłowych — bardzo ostre kontrowersje między Jezusem a niektórymi środowiskami lub mistrzami żydowskimi. Ujawniają się one w gwałtownych wystąpieniach mistrzów żydowskich przeciw Jezusowi i Jezusa przeciwko tym mistrzom reprezentującym taki lub inny prąd judaizmu. Są one zawarte we fragmentach, które były reformułowane przez żydowskie wspólnoty chrześcijańskie, zmuszone do samookreślenia się zwłaszcza wobec żydowskich wspólnot niechrześcijańskich. To ów szeroki kontekst polemiki nasilał i zaostrzał różnice zdań prezentowane w Nowym Testamencie. Należy sobie uświadomić, że Jezus był Żydem, że Jego pierwsi świadkowie, głosiciele Dobrej Nowiny, byli Żydami, że pierwszy Kościół jerozolimski był żydowski, a Nowy Testament, zanim został zredagowany na piśmie i otrzymał swą formę grecką, głoszony był ustnie przez wspólnoty żydowskie. Dlatego polemiki Nowego Testamentu trzeba umieścić w szerokim kontekście żydowskiego życia, a wtedy można wydać o wiele bardziej zrównoważony sąd o tym, co miały one wyrażać i gdzie kierowało się ich ostrze. Uderzającym przykładem zaciętej polemiki, w której każda ze stron twardo broni swego stanowiska, jest sprawa sabatu. Sabat — siódmy dzień tygodnia, dzień odpoczynku ustanowiony przez Torę i praktykowany w Izraelu od czasów niepamiętnych — był rzeczywistością niezwykle ważną. Dlatego wymiana zdań między Jezusem a mistrzami faryzeuszów, zarówno w ewangeliach synoptycznych, jak i u św. Jana, jest niezwykle ostra. Chodziło o to, by określić, kim jest Jezus w stosunku do sabatu.

S.K. — Na czym więc polega błąd interpretacji?

P.L. — Zbyt długo w Kościele zwalnialiśmy się ze studiowania tradycji Izraela biblijnego i pobiblijnego i straciliśmy z oczu, że sabat jest instytucją boską, chcianą i objawioną bardzo wyraźnie przez Boga, a ustanowioną i ujętą w określone ramy w Piśmie. Co więcej — praktykowaną, wyjaśnianą i bezustannie adaptowaną przez tradycję ustną, która za wszelką cenę w życiowej praktyce sabatu chciała być wierna Słowu Bożemu. Sabat jest dniem odpoczynku, który zbiega się ze stwórczym odpoczynkiem Boga, a przez to głosi, że ludzkość powołana jest do współpracy z Jego dziełem stworzenia. Sabat jest zwornikiem, który nadaje cały sens żydowskiej egzystencji, żydowskiemu tygodniowi i całej żydowskiej historii. Wszystkie inne święta pozostają w relacji do sabatu. I największe święto Paschy i inne święta pielgrzymkowe, i Pięćdziesiątnica, i wielkie święta pokutne — wszystkie podporządkowane są sabatowi. W stosunku do innych świąt jego pozycja jest naprawdę nadrzędna, bo chodzi w nim o łączność z życiem Bożym jako takim. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że naród żydowski za wszelką cenę musiał utrzymać charakter sabatu i jego wszechobecność w całym swoim życiu.

S.K. — Czy nikt ze współczesnych teologów katolickich nie interesował się tym zagadnieniem?

P.L. — Owszem, np. o. H. De Lubac, dzisiejszy kardynał, który napisał wielkie dzieło na temat średniowiecznej egzegezy. Analizuje w nim między innymi teksty patrystyczne na temat sabatu i konkluduje, że rzeczywistością sabatu jest Chrystus. Mamy także bardzo dobre i bogate studium o. J. Danielou, który pod koniec życia również został kardynałem, mianowicie: „Biblię i liturgię". W dziele tym autor ukazuje miejsce, jakie sabat zajmował w tradycji Izraela.

S.K. — Ale wracając do rzeczy...

P.L. — Jest sprawą podstawowej wagi, aby określić pozycję, jaką zajmuje Jezus wobec sabatu. Tym się tłumaczy ostrość i stanowczość polemiki. Jezus musiał się określić przez swój stosunek do sabatu. Musiał, jeśli jest Tym, kim mówi, że jest, i jeśli prawdą jest to, co mówi o Nim Kościół, poczynając od świadectw Nowego Testamentu: według ewangelii synoptycznych — Syn Człowieczy, który przyjdzie w chwale, a według Jana — Ten, który używa formuły: „Zanim Abraham stał się, Ja jestem". Skoro więc Jezus jest Tym, za kogo uważa Go wiara chrześcijańska, to tym samym jako Bóg ma praw określać, czym jest sabat, i ma prawo interpretować poszczególne przepisy sabatu. Jednakże te szczegółowe przepisy są drugorzędne w stosunku do zagadnienia podstawowego: kim jest Jezus wypowiadając się o sabacie wobec Żydów? W Ewangelii św. Jana jest to wyraźnie widoczne. Żydzi zarzucają Mu, że gwałcąc sabat i pretendując do prawa jego interpretacji czyni się równym Bogu. Jezus nie gwałci jednak sabatu, chociaż ludziom, którzy nie mają wiary chrześcijańskiej, Jego postępowanie pozwala tak myśleć: ktoś, kto głosi się wyższym od sabatu, jest dla nich bluźniercą. Albo więc Jezus ma rację i należy Go czcić jako Boga, albo się myli i trzeba Go uznać za szaleńca lub bluźniercę. Zrozumiałe jest, że w takiej sprawie jak sabat występowały tak ostre kontrowersje, a w Ewangelii Jana, z racji dualizmu autora, problem został postawiony niezwykle kategorycznie: kto nie jest z Jezusem, jest z szatanem. Wypowiedzi Janowe Kościół równoważył innymi teologiami Nowego Testamentu, który daje wiele możliwości prezentowania wiary chrześcijańskiej. Teologia Jana nie jest jedyna. Trzeba jednak uznać, i to Kościół przyjmuje, że sedno świadectwa Janowego i jego pozytywne twierdzenie o Jezusie mają w sobie coś, czego w innej formie nie dałoby się wyrazić, a co wyraża się właśnie w formie polemiki. I dlatego Kościół nie może z Nowego Testamentu, który otrzymał jako najcenniejszą spuściznę, usunąć tekstów i świadectw, które to, co pozytywne, przedstawiają w taki właśnie sposób i w tej konwencji literackiej. Polemika wyostrza punkt sporny, często też, aby to wyostrzenie uzyskać, przeciwników Jezusa — tych, którzy zaprzeczają Jego bóstwu lub Jego wyjątkowej osobowości i autorytetowi — przedstawia się w sposób całkowicie negatywny. I jeśli traci się z oczu pedagogiczną wartość oraz literackie i teologiczne znaczenie twierdzeń Nowego Testamentu, to dochodzi się do skrypturystycznego fundamentalizmu, który staje się pożywką antysemityzmu. I tutaj powstaje problem, który będzie towarzyszył całemu życiu Kościoła. Oczywiste jest, że nie wolno zadowalać się czytaniem jakiegoś polemicznego fragmentu wyrwanego z kontekstu. Bo tylko usytuowanie go w kontekście pozwala dostrzec jego znaczenie pedagogiczne. Jeśli się tego nie robi, przez całe wieki podtrzymuje się antysemityzm w świadomości chrześcijańskiej.

S.K. — Co zatem? Jak nadrobić wiekowe zaniedbania?

P.L. — Kościół zmuszony jest do ogromnego wysiłku katechetycznego, do wychowywania w ten sposób, aby posłanie Nowego Testamentu umieszczać w pełnym kontekście, tzn. w poczuciu więzi rodzinnej, jaką chrześcijanie powinni mieć z żydami dzięki całej wspólnej tradycji — natchnionej i czcigodnej. Gdybyśmy mieli świadomość tej więzi z nimi — z takimi, jakimi są oni dzisiaj — to byśmy mogli przyjmować teksty polemiczne nie wykorzystując ich przeciwko nim. Kościół tego nie uczynił w dostatecznej mierze i sam został zaatakowany przez antysemityzm. Zamiast żyć wyłącznie pełnią wartości Chrystusowych, nieświadomie przyswajał sobie truciznę, która sprawiała, że zamiast świadczyć o miłości, świadczył, zwłaszcza wobec narodu żydowskiego, o czymś zupełnie innym. Dał się zatruć antysemityzmem nie jako Kościół — oblubienica Chrystusa — ale jako instytucja złożona z chrześcijan, którzy z racji braków dostatecznego wychowania przerzucili na Żydów swoje własne grzechy. Nowy Testament nie jest dokumentem napisanym dzisiaj, ale i dzisiaj Kościół czerpie z niego świadectwo i poprzez to świadectwo przedstawia Jezusa. Chodzi o odnalezienie Jego żywej Osoby. Nie można jednak zapominać, że pozytywne świadectwo o kimś wyraża się często przez ukazanie go w starciu z przeciwnikiem, którego negatywne cechy się przejaskrawia. Jeśli się o tym zapomina, czyni się zły użytek z Nowego Testamentu wraz z jego bogactwem i wprowadza do świadomości ludzkiej zaczyn i truciznę nienawiści. A tego czynić nie mamy prawa.

S.K. — A więc staje przed nami problem holokaustu.

P.R. — Trzeba się nad tym zastanowić. Słowo „holokaust" nie jest trafne i niektórzy Żydzi sprzeciwiają się jego używaniu. Wolą słowo „szoah" — totalna katastrofa, zagłada. Bo „holokaust" oznacza ofiarę świątynną, której żertwa była całkowicie spalana, całkowicie znikała. Ale była ona ofiarą dobrowolną, składaną przez wspólnotę w kulcie oddawanym Obecności Bożej w świątyni w Jerozolimie. Było w tym coś pozytywnego. Ofiara całopalna spłacała długi, w sakramentalny sposób przyczyniała się do ekspiacji za grzechy. Natomiast masakra Żydów, także niewinnych, także dzieci, także Żydów niewierzących, dokonana była przez prześladowcę, który, niestety, był ochrzczony. Ochrzczony, ale najczęściej nie miał w sobie już nic z chrześcijańskiego sumienia a tylko ów jad odziedziczony wraz z chrześcijańskim wychowaniem. To wszystko nie ma nic wspólnego z kultem oddawanym Obecności Bożej. Słowo „holokaust" kryje więc w sobie pułapkę, jeśli tak można powiedzieć, i dlatego Żydzi go nie lubią. Zagadnienie terminologii jest chyba jednak czymś drugorzędnym. Istotna pozostaje sama straszliwa rzeczywistość. Można ją wytłumaczyć jedynie tym, że człowiek zdany na samego siebie, zamknięty w obłąkańczym systemie, nie wie, co czynić, żeby wyjść z tej przerażającej sytuacji, zaczyna więc niszczyć i niszczy także samego siebie.

S.K. — Powstają pytania i dla chrześcijan, i dla żydów.

P.L. — Tak. Żydzi stawiają sobie pytanie: jak Bóg mógł coś podobnego dopuścić? Jak można wierzyć w Boga, który dopuszcza coś podobnego. Ale dla chrześcijanina ważne jest pytanie: jak mogło dojść do tego w kraju ukształtowanym przez świadomość chrześcijańską? Jak na to reagowali lub nie reagowali świadomi chrześcijanie?

(cdn)

Rozmawiała s. Kinga Strzelecka OSU

WŚRÓD KSIĄŻEK

Fakty i interpretacje

Bernt Engelmann, wybitny zachodnioniemiecki publicysta, pisarz i historyk, znany jest już czytelnikom polskim. Wydawnictwo Poznańskie udostępniło dwie jego książki publicystyczne: *Wy na górze, my na dole* (1976) i dwutomowy *Antypodręcznik historii Niemiec* (1976—1978). Przetłumaczono także powieść Engelmanna *Wielki Federalny Krzyż Zasługi* (Poznań 1977). Ta sama oficyna wydała ostatnio kolejną książkę tego autora, poświęconą historii Prus, kraju, którego historia tak bardzo splata się z losami naszego narodu[1]. Engelmann nie unika zresztą analizy roli Polaków w dziejach swej ojczyzny (wielokrotnie podkreśla, że sam jest Prusakiem, podobnie jak na przykład... Karol Marks). Traktowanie Prus jako tygla różnych narodów, wśród których istotny jest pierwiastek słowiański, wydaje się nawet u Engelmanna obsesyjne, zwłaszcza wtedy, gdy doszukuje się polskich koneksji we własnym rodowodzie. Omawiana pozycja z pewnością była trudna do przyjęcia przez wielu czytelników niemieckich, którzy otrzymali historię Prus bez mitów, pieczołowicie powtarzanych przez historyków niemieckich aż do naszych czasów. Książka jest zatem niezwykle ważna dla niemieckiego obszaru językowego teraz, gdy w obu państwach niemieckich obserwujemy renesans zainteresowania sprawami pruskimi (np. postacią Fryderyka Wielkiego). Engelmann pisze bardzo jędrnym stylem, przytacza wiele interesujących szczegółów o osobach zapomnianych nawet w Niemczech. Erudycja autora widoczna jest na każdej stronie pracy, co nie przeszkadza odbierać lekturę jako sensacyjną, w dobrym znaczeniu tego słowa. Książka jest z pewnością krokiem naprzód na drodze pojednania narodów polskiego i niemieckiego, chociaż niektóre zawarte w niej dane mają tzw. kontrowersyjny charakter. Tłumaczka nie ustrzegła się, niestety, błędów. Zgrzytem jest przetłumaczenie niemieckiego „reformierte" na „zreformowany", czego efektem jest potworek językowy „parafia ewangelicka zreformowana w Berlinie".

Pasjonującym dokumentem są wspomnienia Wawrzyńca Węclewicza, rodowitego berlińczyka, Polaka, który nigdy nie był w Polsce — obecnie jest on obywatelem szwedzkim[2]. W latach trzydziestych autor był pracownikiem polskich ośrodków dyplomatycznych i handlowych w Berlinie. Uwięziony w 1938 roku, przeżył gehennę Moabitu, Sachsenhausen i Neuengamme. Wolność odzyskał w 1945 roku. Kuracja w Szwecji skończyła się małżeństwem w Sztokholmie. Wraz z małżonką Brigittą autor stał się ambasadorem kultury polskiej na Półwyspie Skandynawskim. Fragmenty wspomnień to dziennik, prowadzony przez autora „na żywo". Postać Wawrzyńca Węclewicza jest dowodem na to, że kultury polskiej nie da się podzielić na krajową i emigracyjną, co podkreślał w jednym ze swych ostatnich przemówień w Sejmie poseł Edmund Osmańczyk, również dawny działacz polonijny w Niemczech.

Na dokumentach (listach, pamiętnikach, wspomnieniach) oparł swą pracę o królu Sobieskim Alojzy Sajkowski[3]. Z tekstów pisanych przez żołnierzy, uczestników wojen ukraińskich, tureckich, moskiewskich i innych, wynika żywy obraz epoki, a także jej hetmana i późniejszego króla. Gorąco polecam tę książkę miłośnikom naszych dziejów, zwłaszcza młodzieży.

Piąta część przygotowywanej przez KUL historii Kościoła poświęcona jest okresowi Reformacji[4]. Książkę polecam studentom teologii. Autor obszernie omawia zagadnienia protestantyzmu w poszczególnych krajach, w tym także w Polsce. Z satysfakcją należy przyjąć fakt, że wiele miejsca poświęcono Kościołowi reformowanemu i reformatorom: Zwingliemu i Kalwinowi.

W.Z.

---

[1] Bernt Engelmann: *Prusy. Kraj nieograniczonych możliwości*, przeł. Brygida Jodkowska, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1984, cena 230 zł.

[2] Wawrzyniec Węclewicz: *Tyle śmierci ile dni*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1983, cena 70 zł.

[3] Alojzy Sajkowski: *W stronę Wiednia, Dole i niedole w świetle listów i pamiętników*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1984, cena 250 zł.

[4] Ks. Bolesław Kumor: *Historia Kościoła*, Część 5, *Czasy nowożytne. Rozłam w chrześcijaństwie zachodnim*, KUL, Lublin 1984, cena 350 zł.

Biblie z ilustracjami

Kiedy w latach siedemdziesiątych ukazał się *Nowy Testament z ilustracjami*, ewangelików polskich ogarnęła duma. Dzieło zostało przecież wydane przez Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne w Warszawie, którego współpracownikami są przede wszystkim ewangelicy polscy. Duma była uzasadniona tylko częściowo. Rzeczywiście był to pierwszy duży fragment Biblii drukowany w Polsce wraz ze specjalnie dobranymi ilustracjami, pierwszy... po drugiej wojnie światowej. Mam przed sobą dużego formatu księgę pt. *Pismo święte w obrazach*, wydaną w roku 1925 w Poznaniu nakładem Księgarni i Instytutu Sztuk Pięknych S. A. Dzieło składa się z ponad dwustu ilustracji „podług oryginałów najlepszych mistrzów", z których każda ilustruje konkretne zdarzenie ze Starego lub Nowego Testamentu. Oprócz wersetów biblijnych na każdej stronie znajduje się streszczenie odpowiedniego fragmentu Pisma świętego, Obrazy z opisywanej księgi były zresztą wielokrotnie przedrukowywane w różnego typu podręcznikach religii katolickiej, mszalnikach itp.

Na znacznie wyższym poziomie artystycznym stało *Pismo święte w obrazach* z rycinami Gustawa Doré. Było ono wydawane kilkunastokrotnie wraz z pełnym przekładem ks. Jakuba Wujka, począwszy od końca XIX wieku. Ilustracje te zdobyły wielką popularność i były drukowane jako oddzielny album (na przykład w latach dwudziestych przez oficynę Michała Arcta w Warszawie).

Powyższe dwa przykłady świadczą o

tym, że Kościół katolicki, zgodnie ze swą doktryną, od dawna przywiązywał dużą wagę do roli obrazu w nauczaniu (nie tylko dzieci!). Doktryna ewangelicka ograniczała (lub wręcz zakazywała) stosowania malowideł i rzeźb w świątyniach, co wpłynęło także i na kształt graficzny książek. Druki reformacyjne były ilustrowane bardzo skromnie (ozdobne nagłówki, często o motywach roślinnych, inicjały, przerywniki graficzne itp. — niekiedy bardzo piękne). W książkach o charakterze polemicznym, na przykład u Reja, zamieszczano rysunki-satyry na „papistów", co nie miało jednak związku z ilustracją biblijną. Z pewnością nie była to kontynuacja chlubnej tradycji graficznej średniowiecznych psałterzy rękopiśmiennych.

Wysoki poziom poligrafii, a zwłaszcza możliwość doskonałej reprodukcji fotografii barwnej, spowodował, że w krajach zachodnich stały się popularne różnego rodzaju publikacje biblijne zawierające barwne mapy, fotografie zabytków Ziemi Świętej itd. Trudno przecenić dydaktyczną wagę takich wydawnictw. I tutaj rzeczywiście palma pierwszeństwa w Polsce przypadła ewangelikom. Miło mi poinformować, że ostatnio w przykościelnych kioskach w naszym kraju można nabyć „antologię" biblijną, wydawaną w języku polskim w Paryżu przez oficynę Editions du Dialogue. Ukazały się już trzy tomiki tego niezwykle cennego wydawnictwa . Tom *Ewangelia Jezusa* zawiera wybór tekstów z czterech ewangelii, ukazujący życie Zbawiciela, w warstwie ideologicznej zaś — wypływającą z tego życia naukę dla nas. Oprócz tekstów biblijnych książka zawiera wprowadzenie geograficzno-historyczne, uwagi metodyczne, informacje o pochodzeniu ewangelii, mapy oraz mnóstwo barwnych fotografii, dokumentujących zdarzenia biblijne. Podobny charakter mają dwie następne części: *Dzieje Apostolskie. Listy i Apokalipsa* oraz *Stary Testament. Historia zbawienia.* Gorąco polecam całość Czytelnikom naszego pisma.

Na zakończenie pragnę poinformować o kilku interesujących nowościach wydawniczych. Wydawnictwo „Znak", które w tym roku obchodzi jubileusz 25-lecia działalności, przygotowało antologię z prasy polskiej 1939 roku pt. *W obliczu wojny* (cena 260 zł). W wyborze uwzględniono artykuły prasy wszystkich ówczesnych odcieni politycznych: od periodyków lewicowych do skrajnej prawicy. Autorem jednego z zamieszczonych artykułów jest Paweł Hulka-Laskowski, wybitny publicysta ewangelicki, niezmordowany bojownik o prawa i miejsce mniejszości wyznaniowych w Drugiej Rzeczypospolitej, założyciel agencji informacyjnej EWPOL, autor wielu książek o klasie robotniczej. Jako nasz współwyznawca Hulka-Laskowski zamieszczał swe artykuły także na łamach przedwojennej „Jednoty". Nakładem PIW ukazała się antologia polskiej poezji renesansowej pt. *„Patrząc na rozmaite świata tego sprawy* (oprac. Jadwiga Sokołowska, cena 800 zł). Bogato ilustrowana książka-album zawiera m.in. utwory Biernata z Lublina, Marcina Bielskiego, Mikołaja Reja, Andrzeja Trzecieskiego (współtłumacza Biblii Brzeskiej). Łukasza Górnickiego i Anonima Protestanta. Prawie połowa uwzględnionych poetów to ewangelicy reformowani! Pragnę zasygnalizować także wznowienie książki *Rafa* wybitnego pisarza współczesnego Jana Józefa Szczepańskiego. Polecane teksty są bogate w reminiscencje z okresu ostatniej wojny, ale posłanie autora jest skierowane do nas wszystkich (Czytelnik, cena 80 zł).

W.Z.

P.S. W artykule *Dzieje Biblii Brzeskiej* („Jednota" 12/1983) napisałem, że pierwszym Polakiem-ewangelikiem, który przetłumaczył Nowy Testament na język ojczysty, był Jan Seklucjan. W rzeczywistości tłumaczem wydania królewieckiego z lat 1551—1552 był Stanisław Murzynowski, wybitnie zdolny, przedwcześnie zmarły teolog ewangelicki. Seklucjan był wydawcą dzieła, ale przedmowę napisał w ten sposób, że wprowadził w błąd pokolenia przyszłych badaczy Reformacji. Podobna sytuacja jest z kilkoma innymi pracami, które pierwotnie przypisywano Seklucjanowi. Za pomyłkę serdecznie przepraszam Czytelników „Jednoty".

LISTY • LISTY • LISTY • LISTY

Szanowna Redakcjo,

Są tematy o których mówi się i pisze łatwo, nawet przyjemnie, ale są i inne — trudne, a nieraz drażliwe. Do jednego z nich pragnę w tym liście nawiązać. (...)

Dwa kościoły — zdaje się — w poważnym stopniu zaniechały regularnych odwiedzin duszpasterskich członków zboru. Czyni to jeszcze od czasu do czasu Kościół katolicki w ramach tzw. kolędy. Czy praktykują to zbory ewangelickie i czy wszystkie — tego nie wiem. Mają one o tyle ułatwione zadanie, że są na ogół mniejsze i liczą najwyżej kilkuset zborowników.

Żalił się przede mną niedawno mój dobry przyjaciel, zaangażowany członek jednego ze zborów ewangelickich, że chorował bardzo ciężko kilka miesięcy, leżąc prawie przez cały ten okres w domu. Niestety, zbór, z którym był bardzo związany, zapomniał o nim. Ani jednego dowodu zainteresowania jego losem, ani jednego słowa chrześcijańskiej pociechy... Z uczuciem goryczy i ze łzami w oczach mówił mi o tym. Nie wiem, jak przedstawia się ta sprawa w skali całego kraju, ale obawiam się, że nie najlepiej.

Czy tak powinno wyglądać życie chrześcijańskie? Czy w ten sposób ma być praktykowana miłość bliźniego? Gdy weźmiemy do ręki np. Listy św. Pawła Apostoła, zauważymy często w końcowej ich części osobiste pozdrowienia kierowane imiennie do członków zborów i gmin zakładanych i odwiedzanych przez Apostoła Narodów. To piękne i jakże budujące. Tenże Apostoł w liście do Galacjan (6:2—3) pisze: „Jedni drugich brzemiona noście, albowiem tak wypełnicie prawo Chrystusowe". Tak było w pierwotnym Kościele. Pierwsi chrześcijanie różnili się w swych obyczajach od współobywateli pogan w wielu dziedzinach. Szczególną jednak uwagę zwracała u nich szczerze pojęta miłość bliźniego. „Pieniądze i źródła bogactw miłowaliśmy ponad wszystko — woła Justyn Męczennik w todze filozofa — teraz nawet własność naszą razem składamy i z każdym ubogim się dzielimy" (Apol. I,: 14). Chodziło, oczywiście, nie tylko o pomoc materialną. Nawet poganie doznawali skutków czynnej miłości bliźniego

chrześcijan, zwłaszcza w nieszczęściu, w czasach epidemii, klęsk żywiołowych. „Chorzy, opuszczeni, więźniowie stanowili przedmiot czułej opieki chrześcijan, a ubodzy byli skarbem Kościoła (bp. Władysław Krynicki: „Dzieje Kościoła Powszechnego", s. 62). Biskup Rzymu Korneliusz (+253) w liście skierowanym do biskupa Fabiusza wspomina, że sama gmina rzymska utrzymuje 1500 wdów sierot oraz ubogich (Euzeb. VI:, 43).

Dlaczego poruszam ten problem? W okresie powszechnej laicyzacji, znieczulicy i obojętności, a także ignorancji w dziedzinie wiedzy religijnej oraz rozlicznych konfliktów rodzinnych ogromnego znaczenia nabiera osobisty kontakt duszpasterza z członkami zboru. Poznać ich troski, kłopoty i problemy, a nawet radości, to klucz do ich serc. Przekazane dobre słowo, pociecha, przeczytany urywek Pisma św., krótka wspólna modlitwa to najprostsze nawiązanie do postaw pierwszych chrześcijan, to niezawodna droga dotarcia do ludzi, którzy zwątpili, stoją z dala od Kościoła, nie czytają Biblii, nie słuchają niedzielnych kazań.

A może właśnie duszpasterstwo indywidualne, osobiste, bezpośrednie stanie się w przyszłości w coraz bardziej zlaicyzowanym świecie jedyną pewną drogą do serc ludzkich?

Łączę serdeczne pozdrowienia

Jan Wierski

PRZEGLĄD EKUMENICZNY

Z ZAGRANICY

● Z okazji przypadającej w tym roku 10 rocznicy istnienia Światowej Rady Żywnościowej ONZ ks. dr Filip Potter skierował list do tej organizacji, w którym stwierdził, że z powodu głodu cierpi dzisiaj na świecie więcej ludzi niż kiedykolwiek przedtem. Niestety, wzrasta także obojętność tych, którzy mogliby wpłynąć na zmianę tej sytuacji. Zdaniem ks. Pottera, właśnie na Kościołach spoczywa zadanie uświadamiania ludziom tego problemu.

● Uniwersytet w Uppsali (Szwecja) w uznaniu zasług sekretarza generalnego ŚRK, ks. Filipa Pottera, na polu ekumenii nadał mu honorowy doktorat.

● Znany teolog i ekumenista, ks. prof. Lukas Vischer, uczestniczył w obchodach 20-lecia Instytutu Badań Ekumenicznych w Tybindze (RFN). Przy tej okazji powiedział, że pogląd wyrażony przez papieża Jana Pawła II podczas wizyty w Szwajcarii, iż jest on — jako papież — „podstawą i gwarantem jedności", jest nie do przyjęcia przez Kościoły ewangelickie. Ks. Vischer, który przez 13 lat był dyrektorem Sekretariatu Komisji „Wiara i Ustrój", skrytykował też Światową Radę Kościołów, gdyż jego zdaniem jest ona organizacją „przestarzałą" i wymaga radykalnych zmian. Należałoby właściwie utworzyć ją na nowo i zarezerwować w niej miejsce dla ruchów ponadwyznaniowych.

● Znany teolog katolicki prof. Hans Kung, któremu Watykan odebrał prawo nauczania w imieniu Kościoła Rzymskokatolickiego, ogłosił w dzienniku angielskim „The Times" artykuł zawierający ocenę podróży zagranicznych papieża Jana Pawła II z punktu widzenia ekumenii. Jego zdaniem podróże te niewiele przyczyniają się do poprawy sytuacji międzykościelnej. Dla ruchu ekumenicznego obecny pontyfikat nie przyniósł „w ogóle nic". „Byłem zaskoczony — pisze Kung — że nawet w Wielkiej Brytanii ludzie byli zafascynowani uprzejmymi słowami, którym nie towarzyszyło działanie".

● Związek Kościołów Ewangelickich w Szwajcarii opublikował po spotkaniu z papieżem Janem Pawłem II oświadczenie, w którym m.in. stwierdzono, że Kościół Rzymskokatolicki i Kościół Ewangelicko-Reformowany „stanowią całość i są zdane na siebie, gdyż pragną czerpać ze źródła, którym jest jedyny Pan, Jezus Chrystus".

● W czerwcu podczas obrad w Strasburgu (Francja) podsumował swą pracę Komitet Koordynacyjny Rozmów Leuenberskich, który śledzi przebieg rozmów między Kościołami luterańskimi i reformowanymi w Europie oraz przekazuje wyniki dialogu tym Kościołom, które podpisały Konkordię Leuenberską, tj. porozumienie w sprawie wzajemnego uznania wspólnoty Stołu Pańskiego i kazalnicy. Rozmowy między przedstawicielami obu tradycji ewangelickich odbywają się w kilku grupach regionalnych i dotyczą chrztu, urzędu duchownego oraz nieteologicznych czynników ułatwiających lub utrudniających wspólnotę kościelną.

● Dnia 6 lipca został ogłoszony raport na temat oficjalnego dialogu prowadzonego w latach 1981—1983 przez Wspólnotę Kościołów Anglikańskich i Światowy Alians Kościołów Reformowanych. W dokumencie czytamy m.in.: „Aby mogło nastąpić zjednoczenie obu naszych wspólnot, Kościoły reformowane musiałyby przemyśleć problem urzędu biskupa, anglikanie natomiast rozważyć służbę diakonacką z uwzględnieniem doświadczeń Kościołów reformowanych w zakresie urzędu prezbiterów; obie wspólnoty musiałyby z największą powagą podejść do roli wszystkich wiernych w zarządzaniu Kościołem".

● Przemówienie przewodniczącego watykańskiego Sekretariatu do Spraw Jedności Chrześcijan, kard. Jana Willebrandsa, wygłoszone podczas obradującego na początku lipca w Toronto (Kanada) Synodu Kościołów Luterańskich w Ameryce Północnej spotkało się z bardzo dobrym przyjęciem ze strony 1500 delegatów. Ks. Willebrands w imieniu Watykanu wyraził wdzięczność „za serię owocnych dialogów luterańsko-katolickich prowadzonych w Ameryce Północnej", które zainspirowały i wzbogaciły inne międzynarodowe dyskusje między luteranami i katolikami rzymskimi.

● W Akademii Prawosławnej w Gonii na Krecie odbyło się w dniach 30 maja — 8 czerwca trzecie posiedzenie Mieszanej Komisji Międzynarodowej ds. dialogu między Kościołem Rzymskokatolickim a Kościołem Prawosławnym. Głównym tematem obrad była wzajemna relacja zachodząca między wiarą, sakramentami i jednością. Osiągnięto „generalne porozumienie" w kwestii pojmowania sakramentów Chrztu, Bierzmowania i Eucharystii, ale ostateczny tekst dokumentu wymaga jeszcze dopracowania i zostanie ogłoszony w terminie późniejszym. Jan Paweł II wezwał wszystkich katolików do modlitwy w intencji pomyślnych rezultatów spotkania na Krecie: „Niechaj wspólne studia, modlitwa wszystkich i szczery, lojalny dialog przyczynią się do przezwyciężenia istniejących jeszcze trudności, tak aby przywrócona została pełna jedność, a katolicy i prawosławni

mogli wreszcie celebrować wspólnie Eucharystię".

● Przyjętym od wielu lat zwyczajem, z okazji święta Apostołów Piotra i Pawła (29 czerwca) w Rzymie przebywała delegacja prawosławnego Patriarchatu Konstantynopola pod przewodnictwem abp. Stylianosa Delegacja została przyjęta przez Jana Pawła II, który wyraził pragnienie, aby między obydwoma Kościołami nastąpiło zbliżenie teologiczne oraz duszpasterskie współdziałanie.

● Papież Jan Paweł II i patriarcha syryjsko-prawosławny Antiochii Ignatius Sakka I podpisali 23 czerwca w Watykanie deklarację w sprawie wzajemnej pomocy pastoralnej. Zgodnie z ustaleniami tej deklaracji, wierni obu Kościołów mogą przyjmować sakramenty z rąk kapłanów drugiego Kościoła, jeśli nie jest możliwa taka posługa ze strony duchownego własnego Kościoła. Chodzi tu o sakrament pokuty, udzielanie Komunii św. i namaszczenie chorych. Wspólna Komunia nie będzie jednak możliwa tak długo, jak długo istnieć będą rozbieżności w sprawach doktrynalnych.

● Od 3 do 6 czerwca w Sofii przedstawiciele Kościołów prawosławnych z Bułgarii, Jugosławii, Rumunii i Związku Radzieckiego debatowali nad biblijnymi i teologicznymi uzasadnieniami praw człowieka.

● Podczas nadzwyczajnego Synodu Kościoła Starokatolickiego w Szwajcarii podjęto w dniu 1 czerwca doniosłą uchwałę o udzielaniu święceń diakońskich zarówno mężczyznom, jak i kobietom. Decyzję w sprawie udzielania kobietom święceń kapłańskich przesunięto do następnej sesji Synodu. W ten sposób Kościół Starokatolicki w Szwajcarii, jako pierwszy spośród wszystkich Kościołów należących do tej rodziny wyznaniowej, podjął ważny krok w kierunku równouprawnienia kobiet w sprawowaniu urzędów kościelnych.

● Dnia 17 czerwca zmarł w wieku 71 lat ks. Walter Sigrist, który w latach 1970—1978 był przewodniczącym Związku Kościołów Ewangelickich w Szwajcarii. W okresie sprawowania tej funkcji troszczył się szczególnie o nawiązanie bliskich kontaktów z Kościołami w Europie Wschodniej. Kilka razy gościł w Polsce bądź to na zaproszenie Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, bądź Polskiej Rady Ekumenicznej. Ks. W. Sigrist otrzymał przed laty honorowy doktorat Wydziału Teologicznego Uniwersytetu w Bazylei.

Z KRAJU

Na początku czerwca w Ojrzanowie k. Warszawy miało miejsce nadzwyczajne posiedzenie Prezydium Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej poświęcone przygotowaniu VI Ogólnochrześcijańskiego Zgromadzenia Pokojowego, które zbierze się w Pradze w lipcu przyszłego roku. Delegacja Prezydium ChKP spotkała się z wiceprzewodniczącym Komisji Episkopatu do Spraw Ekumenizmu, bp. Władysławem Miziołkiem i została przyjęta przez prezesa Rady Ministrów, Wojciecha Jaruzelskiego.

● Od 10 do 13 maja obradował w Warszawie XXV (jubileuszowy) Sobór Polskigo Kościoła Chrześcijan Baptystów, który wybrał nową Radę Naczelną Kościoła i jej prezesa w osobie ks. prezbitera Michała Stankiewicza.

Z NASZEGO KOŚCIOŁA

Od pewnego czasu ożywiły się wyraźnie stosunki między Kościołem reformowanym w Polsce a Kościołami szwajcarskimi. Kilkakrotnie gościliśmy delegację Związku Kościołów Ewangelickich, delegację zarządu Kościoła zuryskiego i Kościoła w kantonie Schaffhausen. Również przedstawiciele naszego Kościoła bawili szereg razy w Szwajcarii odwiedzając tamtejszych współwyznawców.

Z prac Instytutu Ekumenicznego

Informowaliśmy w swoim czasie o powstaniu na Katolickim Uuniwersytecie Lubelskim Instytutu Ekumenicznego. Z jednej strony żal, że ani Polska Rada Ekumeniczna, ani Chrześcijańska Akademia Teologiczna, nie powołały takiej placówki, choć pomysły i propozycje dawno już były zgłaszane, między innymi przez nas. Z drugiej zaś strony trzeba wyrazić zadowolenie, że powstała ona na KUL, ponieważ będzie miała z pewnością o wiele większy wpływ na stosunki ekumeniczne w naszym kraju i na ukształtowanie postaw niż instytucja utworzona w środowisku Kościołów mniejszościowych.

Instytut Ekumeniczny KUL powołał Naukową Radę Konsultacyjną, w skład której wchodzi około 20 specjalistów z innych ośrodków teologicznych i z różnych wyznań działających w Polsce. Zadaniem Rady jest wspieranie Instytutu w programowaniu działalności ekumenicznej oraz w realizowaniu ważniejszych przedsięwzięć naukowych, takich jak wydawnictwa, sympozja i współpraca naukowa.

Pierwsza sesja Naukowej Rady Konsultacyjnej odbyła się w Lublinie 19 czerwca 1984 r. pod przewodnictwem kierownika Instytutu Ekumenicznego, bp. prof. dr. Alfonsa Nossola. Jej pierwsza część poświęcona była referatowi nt. „Aktualna sytuacja ekumeniczna w Polsce", wygłoszonemu przez ks. bp. Zdzisława Trandę (ref.) i dyskusji na temat ekumenizmu w Polsce oraz zadaniom Instytutu Ekumenicznego. W drugiej części sesji zebrani wysłuchali sprawozdania z dotychczasowej działalności Instytutu i planów na przyszłość. W listopadzie zamierza się zwołanie sympozjum poświęconego ocenie Dekretu o Ekumenizmie w perspektywie międzywyznaniowej po 20 latach. Przedstawiciele różnych wyznań będą mieli sposobność do publicznego wyrażenia swych poglądów na teorię i praktykę ekumeniczną w łonie Kościoła Rzymskokatolickiego. W przyszłym roku akademickim zostanie wygłoszny cykl wykładów na temat ekumenicznego dokumentu BEM z Limy (Chrzest, Eucharystia, Urząd duchownego). W działalności wydawniczej Instytut projektuje jak najszybsze opracowanie materiałów do wykładów o ekumenizmie w seminariach duchownych oraz serie wydawnicze pt. „Teologia w dialogu" i „Jeden Pan, jedna wiara".

Oprócz przedstawicieli różnych ośrodków rzymskokatolickch w obradach Naukowej Rady Konsultacyjnej uczestniczyli: ks. Misijuk, Michał Klinger (obaj praw.), ks. Jerzy Gryniakow (augsb., CHAT) i ks. Bogdan Tranda (ref., „Jednota").

S. Br.

Pani pastor Sylvia Michel w towarzystwie ks. bp. Zdzisława Trandy (foto: B.T.)

W lipcu bieżącego roku bawiła w Polsce delegacja zarządu Kościoła kantonalnego w Aargau (Szwajcaria) pod przewodnictwem pani pastor Sylvii Michel, prezesa Kościoła. Nasi goście najpierw zawitali na Śląsk Cieszyński, gdzie uczestniczyli w rozpoczęciu Tygodnia Ewangelizacyjnego w Dzięgielowie, zwiedzili dzięgielowski Dom Opieki i wizytowali kilka parafii ewangelicko-augsburskich (14—15 lipca). Następnie udali się do b. obozu zagłady w Oświęcimiu, skąd przybyli do Krakowa, gdzie spotkali się z tamtejszym oddziałem wojewódzkim Polskiej Rady Ekumenicznej. Stamtąd udali się do Zelowa, wstępując po drodze do Częstochowy, gdzie zwiedzili klasztor jasnogórski, a następnie złożyli wizytę w parafii ewangelicko-augsburskiej, przyjmowani przez tamtejszego proboszcza, ks. Pawła Anweilera. W Zelowie odbyli rozmowy z Kolegium Kościelnym parafii reformowanej.

W piątek, 20 lipca, już w Warszawie, spotkali się z przedstawicielami prezydium PRE. Spotkaniu przewodniczył honorowy prezes PRE, ks. prof. Witold Benedyktowicz, a uczestniczyli w nim: ks. bp. Tymoteusz Kowalski (mar.), ks. bp Tadeusz Majewski (pol-kat) i ks. bp Zdzisław Tranda (ref.). W Urzędzie do Spraw Wyznań zostali przyjęci przez wicedyrektora Tadeusza Dusika. Następnie zwiedzili siedzibę Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej.

W sobotę przed południem goście szwajcarscy zwiedzili Warszawę i złożyli wizytę w redakcji „Więzi", a po południu uczestniczyli w rozmowach z przedstawicielami Kościoła reformowanego. Rozmowy toczyły się w dwóch grupach. Część delegacji rozmawiała z członkami Konsystorza i prezydium Synodu na temat życia i działalności Kościoła oraz stosunków między reformowanymi w Polsce i w Szwajcarii, część — z członkami warszawskiego Kolegium Kościelnego na tematy związane z praktyczną pracą w zborze. Wieczorem w sali parafialnej odbyła się wspólna kolacja.

Niedzielę nasi goście spędzili w trzech parafiach: warszawskiej, zelowskiej i kucowskiej, gdzie uczestniczyli w nabożeństwach, wygłosili kazania i rozmawiali z członkami zborów. W poniedziałek rano z lotniska Okęcie odlecieli do Szwajcarii.

Z PRASY

Religia albo...?

W ostatnich latach można zauważyć w prasie katolickiej wzmożone zainteresowanie myślą konserwatywną, zarówno rodzimą, w perspektywie historycznej, jak i europejską oraz amerykańską, nam współczesną. Fakt ten należy odnotować z radością, gdyż ten typ myślenia stał się niejako wzorcem myślenia naprawdę poważnego i podejmującego istotne problemy XX wieku. Szczególne zasługi w popularyzacji tej „szkoły" w naszym kraju położyło środowisko miesięcznika „Znak"

Zajmiemy się dwiema publikacjami zamieszczonymi w „Znaku".

W numerze 346 z bieżącego roku znajdujemy esej Daniela Bella zatytułowany „Powrót sacrum. Tezy na temat przyszłości religii". Daniela Bella, wybitnego amerykańskiego filozofa, można najlepiej określić jako „teologa kultury". Przywiązywanie ogromnej wagi do kultury i jej związków z religią widoczne jest w omawianym eseju. Na początku Bell rozprawia się z oświeceniowym pojmowaniem religii: „Pod koniec XVIII wieku i w pierwszej połowie XIX niemal wszyscy myśliciele wywodzący się z tradycji Oświecenia głosili pogląd, że religia w XX wieku zaniknie. Pogląd ten oparty był na przekonaniu o potędze Rozumu. Religia zaś łączyła się z zabobonem, fetyszyzmem, wiarą w to, czego nie można dowieść. Religia była postacią lęku, który miał chronić człowieka przed innymi lękami — formą szukania poczucia bezpieczeństwa charakterystyczną dla dzieci. Myśliciele Oświecenia sądzili, że religia narodziła się w »dziecięcej« fazie rozwoju ludzkości. Według tych poglądów do powstania religii przyczynił się lęk przed siłami natury: zarówno groza wzbudzana przez fizyczne zjawiska otaczającego świata, jak i zagrożenie czające się w głębiach ludzkiej psychiki,

dające o sobie znać nocą lub wywoływane czarami uprawianymi przez różnorakich magów."

W opinii wczesnych myślicieli XX wieku antidotum na religię miała być racjonalizacja świata i w jej wyniku — sekularyzacja. Sekularyzacja sama w sobie — według Bella — nie jest czymś złym. Jest to konieczny etap rozwoju cywilizacji, jeśli pojmujemy ją literalnie jako uwolnienie życia świeckiego od legalistycznej władzy kościelnej. W tym sensie nie zaprzecza ona religii, a nawet może ożywić myślenie religijne: „Oto (...) dają się obserwować zjawiska odrodzenia uczuć religijnych o niezwykłej sile żarliwości wśród szerokich rzesz ludzi; na przykład ruch ewangeliczny w Stanach Zjednoczonych czy ożywienie ruchów metodystów w Anglii. Wśród wybitnych postaci ze świata kultury możemy powołać się na mocne słowa Schleiermachera rzucone w odpowiedzi tym, którzy szydzili z religii; nawrócenie Johna Henry'ego Newmana; egzystencjalną wiarę Kierkegaarda; głęboką religijność Sołowiewa; personalizm Mouniera, neo-ortodoksję Bartha, rozterki duchowe Simone Weil. Podobnych przejawów wiary religijnej można przytaczać bez liku, pojawiają się bowiem ciągle w naszych czasach."

Problem zaczyna się, gdy mieszamy s e k u l a r y z a c j ę z d e s a k r a l i z a c j ą życia. Jest to zabójcze dla kultury, którą Bell określa jako „...zespół reakcji *homo sentiens* (człowieka rozumnego — przy. red.) na zasadnicze pytania nurtujące wszelkie społeczności, pytania dotyczące ludzkiej egzystencji. Są to więc pytania na temat śmierci, sensu tragedii, natury człowieczych zobowiązań, istoty miłości; stale powracające pytania o treści w kulturze uniwersalne i funkcjonujące we wszystkich społeczeństwach, w których ludzie uświadomili sobie przemijający charakter życia. Kultura jest zatem domeną stale powracających problemów."

Jaki zaś jest związek między tak pojmowaną kulturą a religią? Bell pisze: „W tej perspektywie religia jest spójnym zespołem odpowiedzi na zasadnicze pytania egzystencjalne, wobec których staje każda ludzka społeczność. Religia kodyfikuje te odpowiedzi w formie wierzeń mających istotne znaczenie dla jej wyznawców, ustanawia obrzędy rytualne jednoczące emocje ich uczestników i tworzy instytucje skupiające tych, którzy przyjęli wykładane prawdy wiary i obserwują obrzędy kultu. Tak zinstytucjonalizowana religia stoi na straży zachowania ciągłości obrzędów z pokolenia na pokolenie."

Proces desakralizacji podważył — zdaniem Bella — fundamenty zachodniej kultury, burząc spójny światopogląd jej uczestników. Złożyły się na to trzy elementy: 1) radykalny indywidualizm w wyborze zachowań w obrębie kultury, 2) zastępcza rola sztuki, 3) pokusa nihilistyczna związana ze świadomością przemijalności czasu. Współczesny światopogląd oznacza więc „odwrót od dawnych autorytetów, skurczenie się domeny sacrum", co może prowadzić jedynie do totalitaryzmu, przejawiającego się różnie, najczęściej zaś jako religie polityczne o pewnym zacięciu mesjanistycznym. Bell pisze: „Fundamentem religii politycznej jest mesjanizm zwiastujący eschatologiczną obietnicę przeskoku do królestwa wolności na ziemi, oznaczającego wyzwolenie z konieczności."

Zatrzymajmy się w tym miejscu na chwilę, by odwołać się do innego myśliciela konserwatywnego, zmarłego niedawno Raymonda Arona, któremu również „Znak" poświęcił artykuł w nr 337.

Jeśli Bella można uważać za „teologa kultury", to Arona uznaje się za „teologa polityki". Któż więc miałby lepsze kwalifikacje, aby objaśnić ów fenomen religii politycznych? Wiktor Dłuski, autor tekstu o Aronie, tak oddaje jego rozumienie tego fenomenu: „Wystarczy (...) raz na zawsze wybrać swoją armię i sztandar i tylko pilnować, by nie stracić z nimi kontaktu. (...) Ludzie chcą jaskrawych barw, nie dbają o półtony, chcą krzyczeć z zachwytu i jęczeć ze zgryzoty, hucznie świętować zwycięstwa i w bratnim uścisku szlochać po klęsce."

Sam Aron zaś nie uznaje determinizmu w historii: „Historia nie toczy się wedle z góry nakreślonego planu. Tworzą ją ludzie, chociaż sami często nie wiedzą, co tworzą i są w swych możliwościach ograniczeni. Życie składa się w tej sytuacji z niezliczonej ilości konkretnych, jednostkowych wyborów, często między niezbyt porywającymi alternatywami."

Znajduje się to niejako „na styku" z myślą Bella, który w powrocie do sacrum widzi odtrutkę na determinizm i przewiduje wyłonienie się nowych typów religijności (nie zawsze zresztą zgodnych z ortodoksyjnym chrześcijaństwem).

Dla Bella sacrum to Pamięć: „Jeśli powstaną nowe religie — a wydaje mi się, że do tego dojdzie — to, w przeciwieństwie do dawnych czasów, zwrócą się one ku przeszłości i tradycji, by w niej znaleźć te więzi, które łączą człowieka ze zmarłymi, z żyjącymi, i z tymi, którzy się dopiero narodzą. W odróżnieniu od romantyzmu — nie będzie to powrót do natury, w odróżnieniu od moderny — nie będzie to eksploracja skomplikowanej wewnętrznie jaźni; będzie to natomiast odrodzenie Pamięci". Religijność ta poszukuje „nowego słownictwa, którego kluczowym słowem wydaje się być »ograniczenie«; ograniczenie wzrostu, ograniczenie niszczenia środowiska naturalnego, ograniczenie zbrojeń, ograniczenie okrucieństwa i *hybris* (pychy — przyp. red.) — czy możemy coś jeszcze dodać do tej listy? Jeśli tak, to jest to wymowny znak naszych czasów."

Dla człowieka współczesnego, a więc i dla każdego z nas, problem podejmowany przez Bella i Arona jest problemem o znaczeniu podstawowym. Nie uwolnimy się od pytań powstających w związku z nim i zawsze stać będziemy przed wyborem: religia albo...? A Bell i Aron nam tę alternatywę uświadamiają.

Oprac. J.M.

Wydawca: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL. Redaktor naczelny: ks. Bogdan Tranda, sekretarz redakcji: Barbara Stahl. Adres redakcji i administracji: al. Świerczewskiego 76a, 00-145 Warszawa. Telefon: 31-23-83 — Redakcja, 31-45-22 — Administracja. Od 1983 r. prenumerata w kraju: roczna — 360 zł, półroczna — 180 zł. Zagraniczna roczna — 720 zł. Cena numeru pojedynczego — 30 zł.
Konto: PKO Warszawa VIII OM, nr 1586-3854-136. Do nabycia we wszystkich placówkach Kościoła. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena 30 zł

RSW „Prasa-Książka-Ruch". Zakł. Graf. W-wa. z. 1270-84 O. T-35. Nakład 2.000 egz.